



# DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XII

Warszawa, 13 maja 1956 r.

Nr 19 (545)

O. YVES DE MONTCHEUIL

## PRAWO MIŁOŚCI

W SAMYM sercu chrześcijaństwa jest miłość Boga i bliźniego, miłość najwznioślejsza i najczystsza. Nie kryje się ona zwyciężając pod dogmatami i obrzędami, nie czyni źródła pod osłoną zwiędłych liści, lecz pulsuje w nich samych, jest ich duszą, siłą ożywczą. Nie jest też ona tylko jednym z ich składników, choćby składnikiem najważniejszym, najbardziej wewnętrznym, ale jest samą ich istotą. Cała reszta jest ściśle z nią związana, jest jej wyrazem, jej odbiciem, albo inaczej — jej zapowiedzią, przygotowaniem do niej...

Przeciwko tym, którzy skłonni byli zapominać, że istota chrześcijaństwa jest miłość, podnosiły się zawsze głosy, podyktowane sumieniem chrześcijańskim. Głosy te osądzały nieraz niesprawiedliwie, jako że nie wolne były od szkodliwych błędów, a tymczasem — zważywszy, z jakich uczuć się porwały — należało je tylko poprawić a nie tłumić.

Przeważnie w dwójki sposób zapomniać o miłości. Nad pierwszym sposobem nie będziemy się tutaj zatrzymywać: jest on zwulgaryzowaniem religii i polega na tym, że kładzie się wyłącznie nacisk na skuteczność obrzędów, przez co chrześcijaństwo nabiera charakteru religii magicznej. Ale jeszcze drugi, subtelniejszy sposób: wyraża się on w skłonności, by z religii chrześcijańskiej uczynić system obowiązków, system surowszy od wszelkich innych religii, i przy tym tak wyniesiony ponad inne systemy, że mógłby być tylko dziełem objawienia. Dogmat istnieje tu po to, by wspierać i uzasadniać moralność. Ta koncepcja jest ukrytym nawrotem do judaizmu. Chrześcijaństwo stoi tu wyżej od judaizmu tylko o tyle, że nakłada na swych wyznawców obowiązki wyższego rzędu, to znaczy, że kładzie nacisk na moralność wewnętrzną. Ale jest ono w tym wypadku tylko udoskonalonym judaizmem, a nie czymś specyficznym nowym.

Nie w moralności zatem, jakby wynikało z potocznej nauki, należy dopatrywać się właściwej natury, odrębności chrześcijaństwa — nawet gdyby nie miało się ono pokrywać z tą moralnością i trzeba było obok zwykłych norm przyjąć jeszcze wyższą doskonałość, wypływającą z „rad“.

Uważając moralność chrześcijańską głównie za system obowiązków, sprowadzając postępowanie chrześcijańskie do posłuszeństwa zewnętrznym normom, ustanowionym przez władzę, popadamy nieuchronnie w kazuistykę, której żadna zasada wewnętrzna nie zdoła już ograniczyć. Ktoś powie tu od razu, że niektóre rozwiązania kazuistyki nie zgadzają się z naszym wycuciem chrześcijańskim — i słusznie. Ale czy to właśnie nie świadczy, że wycucie chrześcijańskie nie daje się tak łatwo pogodzić z postępowaniem wyłącznie według norm? A tylko to ostatnie doprowadza do skrajnej kazuistyki. Gdyby nie było tego wycucia, moglibyśmy powiedzieć tym, którzy kierują się kazuistyką i pozwalają sobie na wszystko, na co ona pozwala: brak wam szlachetności; natomiast nie moglibyśmy im powiedzieć: mijacie się z istotą chrześcijaństwa, i to chociażby dlatego, że — wedle waszego określenia — chcecie dotrzeć do granic grzechu.

To było przyczyną buntu Pascala. Niektórzy wspaniałomyślnie przyznają, że słuszne były jego protesty przeciwko nadużyciom kazuistyki. W rzeczywistości jednak protestował on przeciwko czemuś innemu (i przy tym słusznie, mimo niezrozumienia pewnych faktów, niesprawiedliwości w szczegółach i w tonie), przeciwko mniej lub więcej wyraźnej skłonności, niektórych teologów tego czasu, by oprócz moralności chrześcijańskiej na zasadzie, która owe nadużycia — usprawiedliwiała. Zasada ta jest następująca: moralność chrześcijańska jest systemem określonych norm, których zachowywanie jest wystarczającym dowodem miłości Boga. Przyjmując tę zasadę nie mamy już prawa krytykować interpretatorów norm moralnych, tych, co określają

w każdej sytuacji pewne minimum potrzebne do ich zachowania. Póki nie naruszają oni regul gry, nie można im niczego zarzucić.

Nie wystarczy tu odpowiedzieć, jak to czynią niektórzy, że nawet najskrajniejsi kazuści obok uczynków obowiązkowych, ściśle określonych, przyjmują istnienie uczynków nadobowiązkowych, które gorąco polecają; albo twierdzą, że kazuści ci byli często sami ascetami. Czy nie to właśnie budzi zgorzniecie, iż chcemy wyznaczyć pewne minimum moralności, wystarczające do tego, by życie było prawdziwie chrześcijańskie, całą zaś resztę uważamy za coś chwalebne, nawet pożądanego, ale nieobowiązkowego? Jak to? Życie chrześcijańskie jest udziałem w życiu Trójcy Świętej, mamy więc odwagę obiecywać je tym, co starają się swymi obowiązkami ograniczać do minimum i obracać na wszelkie sposoby przykazaniami unikając tylko ich pogwałcenia? Powtarzamy, takie stanowisko jest nieuniknione, gdy uczynki obowiązkowe przyjmujemy za miernik życia chrześcijańskiego, twierdząc, że reszta jest czymś zbytecznym. Tymczasem trzeba stanąć wyżej i powiedzieć: to, co nazywamy zbytecznym, chociaż nawet nie obowiązkuje, jest jednak czymś normalnym; to, co uważamy za wystarczające, to tylko stanem, który się toleruje, i to pod warunkiem, że będzie mu towarzyszyć przynajmniej pragnienie postępu, choć

wzniesienia się ponad dotychczasową przyziemność. Dlatego też kazuistyka, jakkolwiek słuszną i potrzebną, nie powinna mnożyć swych dociekań w nieskonńczoność i rozwijać swych założeń aż do końca. Chociaż konformizm moralny jest tolerowany, to jednak ma on swe granice, wypływające z ducha, który tę tolerancję stwarza i z celu, jakiemu ona służy. Jeśli chcemy ochnać życie chrześcijańskie w tych, którzy albo nie mają odwagi wnieść się ku niemu, albo nie mogą go poznać, to nie osiągniemy celu pozwalając im pozostawać w stanie, będącym tego życia zaprzeczeniem. Czyżmy tak, by wszyscy odczuwali zbawczy niepokój. Zabraniamy żyć człowiekowi niżej pewnego poziomu moralnego, ale równocześnie uważamy też za istotne, by pragnął on, bodaj niejasno, wnieść się wyżej. Tymczasem, jeśli ściśle trzymanie się norm ma wartość absolutną, to nie możemy potępiać tego, kto stara się ich przestępować jak najmniejszym kosztem.

Podobne jak Pascala, choć bardziej splecione, były zarzuty Lutra, gdy potępił życie religijne i składanie ślubów. Nie rozumiejąc zupełnie ślubów zakonnych dochodził on do mylnych wniosków; nas jednak obochodzi w tej chwili sam duch, z jakiego te zarzuty się porwały. Zdaniem Lutra, już chrzest jest zachętą do doskonałości. To-

też błędnie rozumiejąc znaczenie zakonów, uważa je za szkodliwy wymysł, gdyż — jak sądzi — z samego istnienia ich wynika, że chrześcijanin jako taki nie jest powołany do doskonałości. Luter nie chciał, jak to niektórzy twierdzą, znieść ascety, chciał on raczej ją upowszechnić, przydając jej zresztą inną treść. Nie chciał sprzeciwiać wszystkim do poziomu przeciwności, przeciwnie, pragnął, choć w sposób wypaczony, poćwiecić wszystkich ku życiu wyższemu, które dotychczas obowiązywało tylko członków zakonów.

Tak, jak urażone wycucie chrześcijańskie nie może się opowiedzieć za luteranizmem, tak też nie może się ono zgodzić na jansenizm, jeszcze bardziej niszczący życie religijne i jeszcze bardziej nie do przyjęcia. Jest on nie do przyjęcia dla ogółu chrześcijan, ponieważ mnoży zbytek obowiązków; w ten sposób zmniejsza liczbę tych, którzy mogliby żyć w pełni chrześcijaństwem, i pozostawia ogromną część ludzkości jej losowi. Jeszcze trudniej przyjąć go jednostkom naprawdę religijnym, ponieważ trzyma się on ściśle norm moralnych, i to w stopniu większym niż luteranizm. Przytłacza on tymi normami człowieka i w przestępowaniu ich widzi istotę życia chrześcijańskiego. Miłość chrześcijańska jest mu obca.

W tej chwili nie interesuje nas pedagogika moralna, chcemy natomiast uchwylić samą istotę chrześcijaństwa. Pedagogika przychodzi dopiero potem. Chrześcijaństwo wzywa do miłości zupełnej, do przekształcenia wewnętrznego w Boga. I to ma być celem naszych wysiłków. Nie należy więc ograniczać się do pewnej praktyki, która by przekształcała nas tylko dostatecznie, lecz dążyć do przekształcenia zupełnego. Chrześcijanin zna tylko jedną zasadę postępowania, tę, jaką mu daje Ewangelia: „Bądźcie doskonali, jako wasz Ojciec Niebieski jest doskonały”. Póki do tego nie dojdziemy, nie będziemy u celu. Kto zatrzymuje się przed tym, na próżno by twierdził, że osiągnął ideał życia chrześcijańskiego, chociażby częściowo; w istocie nie osiągnął go wcale i wszystko ma jeszcze do zrobienia. Innymi słowy, nie chodzi tu o to, by tylko ograniczać egoizm, usuwać jego szkodliwe przejawy, lecz by stłumić go całkowicie. Zastąpić go trzeba jego przeciwieństwem. Mamy go stłumić w sobie dlatego, że tam, gdzie on jest w nas, tam nie ma Boga. Postawa taka, choć wydaje się radykalna, nie wyraża jakiegoś doskonałego życia chrześcijańskiego: jest ona samym tym życiem. Każda inna postawa tylko o tyle zasługuje na tę nazwę, o ile zawiera w sobie przynajmniej pragnienie wzniesienia się na ten poziom. Ideał taki nie jest chimerą, jakkolwiek nie można go nigdy całkowicie osiągnąć: non imposable jubet Deus sed perfecta... Tak więc jedynie nasze dążenie do miłości doskonałej pozwala nam prawdziwie przestrzegać normy, które Kościół uważa za obowiązujące.

Jeśli bowiem ktoś wie, że jest przedmiotem nieskończonej, bezinteresownej miłości, jeśli wie, że istnieje tylko dlatego, iż jest kochany, to ze swej strony może też tylko odpowiedzieć miłością całkowitą, pragnieniem zupełnego przekształcenia się i zjednoczenia z Bogiem. Ten, komu Bóg objawił ową cudowną tajemnicę, iż stwo-

rzył go z miłości, iż z miłości zstąpił w otchłanie grzesznego stworzenia, by przywieść je z powrotem ku sobie i je przekształcić — ten może mieć tylko jedną odpowiedź. I nie będzie się ona wyrażać w słowach: z miłości uczynię więcej, niż się ode mnie wymaga. Nie, do pomyślenia jest bowiem dla niego stosunek do Boga, który by się opierał na obowiązku moralnym; przestrzeganie norm moralnych nie może tu być sprawą zasadniczą. Obydwa rodzaje rozumienia obowiązku w jednakowym stopniu są nie do przyjęcia. W pierwszym wypadku rozważa się, co trzeba uczynić, by zasłużyć na nagrodę lub uniknąć kary; miłość jednak wzdryga się przed takim stanowiskiem; mówi ona słowami św. Bernarda: „Non sine praemio digitur... sed obsequio intuitu praemii”. Odrzuca ona wszystko, co zakrawa na umowę, na zapłatę. Można następnie pojęcie obowiązku łączyć z miłością, twierdząc mianowicie, że obowiązują takie uczynki, w których miłość wyraża się w stopniu wystarczającym, by zasłużyć na przyjaźń Bożą. I to stanowisko jest nie do przyjęcia. Miłość pragnie miłości całkowitej. Żadna przyjaźń Boża jej nie wystarczy, jeśli nie będzie ona przyjaźnią i największą. Piękłem by było dla świętego, gdyby czuł się zawieszony na pewnym stopniu miłości Bożej, który — choć nie wiem jak wysoki — nie byłby stopniem najwyższym.

To, że stosunek nasz do Boga nie może opierać się na idei prawa, na kategoriach uczynków obowiązkowych i nadobowiązkowych, nie znaczy, iż chrześcijaństwo nie powinno przystosowywać się do mas ludzkich po to, by pomóc im się wnieść ponad zwierzęcy egoizm. Przystosowanie takie jest słuszne, a nawet konieczne. I ono to pozwala określać uczynki obowiązujące i te, które pozostawia się ludzkiej szlachetności. Jednak określony w ten sposób obowiązek nie wypływa bezpośrednio z wiecznego prawa: jest on tylko wyrazem świadomości chrześcijan danego czasu, stopnia ich tolerancji, jak również wyrazem ich aspiracji, ograniczonych stale ludzką słabością i różnymi czynnikami natury psychicznej i społecznej. W każdym razie człowiek, który kocha, nie będzie kierował z tej tolerancji. Kto się na nią godzi, składa dowód, że — jak mówił Guillaume de Saint-Thierry — wiara jego jest jeszcze z ciała i krwi. Tajemnica, Boża nie przeniknęła jego świadomości. Duch Święty nie przemówił jeszcze w jego sercu. Wszedł on wprawdzie do świątyni, ale nie wie jeszcze co się dzieje w jej sanktuarium. Nie należy zatem z tego, co jest ustępstwem czynionym ludzkiej słabości, wnioskować o istocie chrześcijaństwa.

Prawda, że niektórzy chcą sprowadzić istotę chrześcijaństwa do posłuszeństwa prawom moralnym powołują się na słowa Chrystusa u św. Jana: „Jeśli ktoś mnie kocha, będzie zachowywał me przykazania”. Nie widzą oni jednak, iż wypaczają zupełnie znaczenie tych słów. Ze miłość Boga czyni z nas gorących wykonawców Jego woli, że nasza gorliwość pod tym względem jest oznaką tej miłości — to zrozumiałe. Ale zupełnie inny sens ma faktycznie powiedzenie: spełniać minimum obowiązków uważanych obecnie przez społeczność religijną za nieodzowne — to składać dostate-

## Oświadczenie

Oddajemy do rąk naszych Czytelników ostatni numer „Dziś i Jutro”. Po szczegółowym rozpatrzeniu aktualnej sytuacji prasy katolickiej w Polsce postanowiliśmy wspólnie z redakcją „Tygodnika Powszechnego” zjednoczyć swe siły dla wydawania nowego, ogólnopolskiego tygodnika katolickiego pod tytułem „Kierunki”. Tym samym oba zespoły zaprzestają dotychczasowej działalności.

Decyzję tę podejmujemy świadomie, z pełnym poczuciem odpowiedzialności. Ewolucja ideologiczna, jaka w ciągu ostatnich lat zaszła w najszerszych kołach katolickich Polski Ludowej spowodowała pod wieloma względami zbliżenie tendencji obu redakcji, oraz zbliżenie potrzeb Czytelników obu pism. Zakres poruszanych problemów i kierunki ich rozstrzygnięć okazały się wyraźnie pokrewne. W obu zespołach redakcyjnych powstało przekonanie, że zjednoczenie się przyczyni się do rozwoju pracy publicystycznej.

Jednocześnie narastająca — zarówno w Polsce, jak i na całym świecie — problematyka społeczno-moralna zobowią-

zuje do coraz głębszej troski o integralną zgodność poszukiwanych rozwiązań społecznie postępowych z doktryną katolicką. Obie redakcje wyraziły przeświadczenie, że wspólny, zjednoczony wysiłek może się przyczynić do zapewnienia nowemu piśmie jak najbardziej twórczych osiągnięć w nawiązaniu wszystkich aktualnych problemów w zgodzie z nauką Kościoła Katolickiego.

Połączenie wysiłków dwóch zespołów redakcyjnych w wydawaniu nowego pisma, o zwiększonej objętości i zasięgu oddziaływania, winno stworzyć nowe możliwości, szersze i potężniejsze, dla budowy warunków rozwoju światopoglądu katolickiego w świecie tworzącego się socjalistycznego ustroju społeczno - gospodarczego, w konfrontacji ze stanowiskiem innych światopoglądów.

Nowe pismo „KIERUNKI” dotrze do rąk dotychczasowych Czytelników „Dziś i Jutro” z datą 20 maja br.

Pismo będzie posiadać oddział redakcyjny w Krakowie.



Z wydanego w ostatnich dniach albumu Tadeusza Kulskiego (nakł. wyd. „Sztuka”).

(Dokończenie na str. 7)

I  
A JAK ty byś malował to malarzu?  
— Malowałbym w zupełnej pustce. W takiej żółtej pustce, którą znacie. Takaszi szedłby sam, niósłby owo wulgarnie wiadro, o którym wspomina, że ukrył w nim szczątki Midori. Niosłby je i — tak, jak pisze — przyskabył je do pierśi.  
— Żadnych szczegółów?  
— Żadnych. Takaszi zresztą też byłby dalej od widza, jeżeli oczywiście w pustce można być dalej lub bliżej...  
— A gdybyś namalował tylko pustkę?  
— Bez Takasiego?  
— Bez Takasiego...  
— Tak, to byłoby bardzo uczciwie. Ale czy mnie stać?...

II

OTÓŻ, sprawa Hiroszimy i sprawa Nagasaki — to kraniec dotychczasowego dorobku kulturalnego ludzkości. Kraniec oczywiście nie ten (co byłoby naiwne), że ludzkość, którą stać było na zbrodnię atomową, sama sobie i swej kulturze wydała świadectwo — ale ten, że rozmiary i najgłębsza treść tragedii Hiroszimy i Nagasaki bezwzględnie przerasta wszelkie znane nam środki artystycznego wyrazu i osadu. Nie wyobrażam sobie dzieła, opartego na dotychczasowej tradycji kulturalnej, które w jakikolwiek sposób adekwatnie lub choć w zbliżeniu mogłoby wyrazić, osądzić rozmiar zbrodni, wymierzyć wielkość tragedii i wydobyć na światło dzienne wszystkie emocjonalne i filozoficzne konsekwencje tego, co się stało 9 sierpnia 1945 r. w Nagasaki.  
Więcej — nie waham się stwierdzić, że nie widzę również filozofii, która ostalaby się bez najmniejszego uszczerbku w obliczu tego faktu. Jeżeli dzisiaj mówi się — występując przeciwko broni atomowej — że wojna atomowa byłaby zagładą cywilizacji, to sugeruje się, że jest to sprawa wyboru na przyszłość. Tymczasem nie wolno nam zamykać oczu na to, że proces zagłady cywilizacji już został rozpoczęty — został rozpoczęty wybuchem dwu bomb atomowych w Japonii. Bo już do historii należą precedensy, których człowiek — tak jak go uformowała kultura dwudziestu, a i więcej wieków — nie jest w stanie całkowicie ogarnąć, całkowicie wytłumaczyć i do końca się z nimi rozrachować. Czy są to precedensy, które w sposób automatyczny, w sposób nieunikniony muszą pociągnąć za sobą lawinę podobnych faktów, a więc wojnę atomową; jeżeli nie dziś, to za sto lub dwieście lat? Nie. Cały sens naszej walki temu przeczy. Ale to, że nie dopuszczymy do wojny atomowej, nie usunie ogromnego problemu bomb już wybuchłych w Hiroszynie i Nagasaki. Nie usunie problemu — wciąż moim zdaniem unikanego — konfrontacji

wszystkich światopoglądów, a wręcz i nawet poszczególnych poglądów ludzkich z dokonaniem faktu zagładzie dziesiątków tysięcy ludzi w przeciągu kilku — nabrzmiałych rozpaczą i cierpieniem — sekund.

III

TAKASZI Nagai był cenionym lekarzem, żarliwym katolikiem, patriotą, dobrym, kochającym mężem, szlachetnym człowiekiem, który lubił rozmyślać na te i owe tematy. Na szczęście nie był literatem — i dlatego jego surowy w intencjach

bezradności i oszołomienia, niedomówione, lecz przez to bardziej bolesne ślady niewiedzy i rezygnacji Takasiego Nagai.

Z nich najpierwsza jest sprawa Boga.

IV

R OSTWOROWSKI tak pisze o Nagai-katoliku:  
„Był chrześcijaninem. Jego katolicyzm zastanawiająco łączy w sobie elementy świadomości na wskroś współczesnego wyznawcy z relikami wiary najwęższej, pobożności jedynie dlatego przekonywującej, że jest udziałem neofity...”

# DZWONY NAGASAKI

STANISŁAW GROCHOWIAK

pamiętnik z wybuchu i następstw wybuchu bomby atomowej nad Urakami — dzielnicą uniwersytecką Nagasaki, dzielnicą, która była bodaj największym w Japonii skupiskiem ludności katolickiej — raczej uwalnia nas od rozstrząsania zakreślenia nieadekwatności środków artystycznego wyrazu w stosunku do atomowej tragedii. Jest to możliwe wierny dokument, zapis bezpretenjonalny i chyba dlatego w dużym stopniu zwycięski w swej ambicji świadczenia faktem.  
Ale jest to dokument konfrontacji myślącego człowieka, człowieka obarczonego całym systemem bardzo złożonych poglądów, że zjawiskiem dotąd w swej grozie i tragiczności niespotykanym. Mikołaj Rostworowski w przedmowie do „Dzwonów Nagasaki” widzi w tej konfrontacji — z wyjątkiem raczej drobnych (przy tych proporcjach) pomyłek politycznych dra Nagai — wielkie zwycięstwo człowieczeństwa nad bestialstwem, ludzkiej przeciwności nad zwyrodnieniem. Zgadza się, że jest czymś optymistycznym walka Nagai o wiarę w jakikolwiek sens, walka wyrażająca się przede wszystkim w energicznym działaniu, ale bardziej uderzyły mnie, również istniejące w „Dzwonach”, momenty

I rzeczywiście: pierwszym wrażeniem po przeczytaniu wstrząsających pamiętników Nagai jest ta bezgraniczna, docierająca do granic świętości religijności. Ona jedna, a przynajmniej ona szczególnie nas pokrzepia. Ale z chrześcijańskich cnot, wiary, nadziei i miłości — Nagai jest najbardziej orędownikiem nadziei, potem miłości. Trzeci element: wiara. tutaj pojęta jako konfrontacja Objawienia z wciąż nowymi zjawiskami doczesności, u Nagai występuje najsłabiej. Prawie wcale — i to stanowi pierwszą rację do niepokoju. Takaszi Nagai, poza wyciągnięciem nakazu miłości bliźniego, cały swój rozumowy i emocjonalny stosunek do Boga zatapia w perspektywach Niebieskiej Chwały. Tam — sam już nadgrzyziony śmiertelną dolegliwością leukemii — spotka się z matką, od śmierci której uwierzył w istnienie nieśmiertelnej duszy, tam odnajdzie całą i żywą Midori. Dlatego warto żyć, warto było przejść piekło 9 sierpnia 1945, dlatego istnieje jakiś sens. Ale Nagai właśnie tak, jak pisze Rostworowski: z a s k a k u j a c o ogranicza się do tych elementów, unikając przecież koniecznego rozważenia samego faktu wybuchu w korelacji z pojęciem Opatrzności — unika te-

go, co przecież byłoby zwłaszcza tutaj najbardziej naturalne, a co niezgrabnie można by nazwać: dochodzeniem „winy” Boga.

Nie wiem, jak powinna wyglądać konfrontacja — trzeźwa i bezkompromisowa — innych światopoglądów ze zjawiskiem zdolności i możliwości człowieka decydowania o potwornej śmierci dziesiątków tysięcy innych ludzi, ale jest jasne, że w filozofii chrześcijańskiej sięga to korzeni zagadnienia Opatrzności, grzechu pierworodnego, skazania natury ludzkiej. Bez tych elementów — co właśnie stało się w książce Nagai — nie można ra-

Nadzieja... nadzieja... nadzieja... Co ty na to, filozofie?

V

W IĘC jak to oceniasz, filozofie?

— Zazdroszczę Nagai, że był katolikiem. Mógł sobie, jak sam mówi, pozwolić na gratisową nadzieję. A ja...  
— Czy więc sądzisz, że inaczej straciłby wiarę? Czy ty byś — którego nie stać na „gratisową” nadzieję — utracił swój światopogląd?  
— Nie jestem prorokiem. Wiem co innego: to jest książka dla wyznawców.

— Dla kogo?  
— Dla wszystkich wyznawców; dla tych, którzy nie wątpią... Powinni w swoich bibliotekach posiadać ją tuż przy grubych kodeksach swej wiary. Chrześcijanie — przy Biblii, materialisci przy Engelsie, egzystencjaliści — przy dziełach Sartre'a i tak dalej, i tak dalej. Rozumiesz? Bo chyba Nagai coś próbował konfrontować? I jak to wypadło?

VI

BYŁ jeszcze patriotą. Ale to nastąpiło potem. Przez cały czas, w całym natłoku poprzednich faktów czynił jedno: ratował dla siebie i dla innych zwykłość gestów i słów. Nie pisze, by płakał nad Midori, by rozdierał szaty i kąsał palce. Wziął wiadro, włożył szczątki, zakopał. Wziął, włożył, zakopał. Mówił, chodź, ratował. Taki — w tym, co się stało — mógł być tylko i powinien być bilans godności i bohaterstwa. I ten właśnie bilans, pozorne najbardziej ubogi, czyni Takasiego zwycięzcą nad złem. Żadnego patosu, ani odrobiny złudzenia lub pozory. Aż wreszcie nastąpiło to. Japonia upadła.

„Doktorze — posyłałem nagła. Tsubakiyama wróciła. Z wyrazem smutku na twarzy podała mi gazetę. Wziąłem ją, jeden rzut oka wystarczył: ujrzałem nagłówki, których obawialiśmy się od kilku lat.  
DECYZJA CESARZA KŁADZIE KRES WOJNIE. JAPONIA ZOSTAŁA ZWYCIĘŻONA.

W ciągu dwudziestu minut plakałem jak małe dziecko...  
Czy miał prawo? Czy miał prawo po śmierci stu trzydziestu tysięcy ludzi w Hiroszynie i Nagasaki? Czy nie było to największą krzywdą, jaką wyrządził zwałok Midori? Czy nie było to czymś ohydny w pobliżu żywym usmażonych ciał, dzieci bez głów, starców i młodych dziewcząt rozkładających się za życia?

Zamiast odpowiedzi chciałbym przypomnieć inny fakt, o którym Nagai nie mógł wiedzieć: w tym samym sierpniu 1945 gazety w Europie również przyniosły wiadomość o upadku Japonii. Ludzie tańczący z radości, ścisłali się i calowali. Połknięte bomby atomowej przyszło dużo później, nie okłamujemy się. I nad stosami pościartowanych, po-

palonych, poskręcanych w nieludzkiej mecie ofiar, śmiały się rozradowane oczy naszej cywilizowanej ludzkości. Tak, mieli prawo — mieli znacznie większe prawo, aniżeli Nagai, stojący skądinąd na pozycjach wrogich wolnym narodom — a przecież prawo, które stało się w tej samej chwili, doład szlachetne i chwalebne, zwykłym bezprawiem. Tak przynajmniej powinna wypaść ta konfrontacja.

VII

W YSTĘPUJESZ przeciwko patriotyzmowi.

— Nie, ideologu, występuję przeciwko jego dawnej, zaborczej postaci. Występuję przeciwko wszystkiemu, co usprawiedliwiałoby samobójstwo tego świata. Przeciwno rzucił: Zresztą pozwólmy powiedzieć Takaszi Nagai, prosi o głos.

— Tak. Byłem bezradny. Nie potrafiłem wszystkiego unieść. Możeście policzyć mi to za błąd, ale błędy... Nie. W „Dzwonach” napisałem jeszcze:

„Japonia upadła, lecz medycyna została. Tu jest pole dla naszej pracy, na tym polega nasz obowiązek: czuć nad zdrowiem i życiem jednostek, niezależnie od losów państwa. Ten cios uderzył w Japonię, bo nie umiała dostatecznie szanować życia jednostki... Zaczęłam uprzedzać sobie, że ten szacunek może stać się podstawą nowego poglądu na świat.”

VIII

N A pewno. Na pewno powinniśmy położyć „Dzwony Nagasaki” tuż obok grubych kodeksów naszej wiary. My — wyznawcy jakichkolwiek filozofii i światopoglądów. Bo nie uda się nam nasza walka o przyszłość bez kapitalnego rozrachunku z tym, co się stało już, a co Takaszi Nagai zawarł w swym pięknym, lecz przecież miejscami bezradnym pamiętniku.

Wydaje mi się, że za mało o tym myślimy. Nasza pewność jest zbyt często przepojona zadowoloną z siebie bez troską, nasze czyny są często czynami ludzi, którzy jakby zapomnieli, że stąpają po ziemi przeżartej solą milionów tragicznie pomordowanych. Wciąż jeszcze za mało żądamy od winnych odpowiedzialności, od samych siebie bezustannego wyboru.

— Węc chcesz, byśmy byli zaleknonymi słuźkami wielkiego ATOMOWEGO STRACHU?

— Oczywiście nie. I oczywiście żądam wiele, tyle, co Nagai:

„Wyrzeczcie się wojny! Działajmy wspólnie...”

To są truizmy, powiecie, truizmy — nudne, banalne, nieskuteczne... To jest pacyfizm — mówicie. Tak, to były truizmy, to był pacyfizm.

Były, był, stało się — nauczymy się tego wreszcie.

JANUSZ STEFANOWICZ

## „ŚWIAT PEŁEN OBIETNIC”

P RYZNAM, że bałem się o swoje podwórko. Bałem się, że pod nowym reflektorem, w którego świetle sprawy krajowe okazały się ani nudne, ani proste, tradycyjnie ciekawy — a przynajmniej ciekawostkowy — dział zagraniczny zejście na szary plan. Ze — co niepokoiło mnie najbardziej — ominię go dobry bacył dyskusyjności. Londyńska wizyta przywódcy radzieckich uwoiniła mnie od tych obaw. Po pierwsze, ludzie o niej mówią. Po drugie, ludzie spierają się co do jej wyników. „Do niczego nie doszli” — wruszają ramionami sceptycy; „ale rozmawiali otwarcie i przyjaźnie” — odpowiadają inni. „Nie zmniejszili napięcia w żadnym konkretnym problemie”; „za to zmniejszyli napięcie w całej atmosferze międzynarodowej — a więc zarazen w wszystkich problemach”; można by długo ciągnąć ten odwrócony, ale nie zmysłony dialog.

W czym tkwi jego sprężyna? Czy mamy po prostu automatyczny przetrut dyskusyjności ze spraw krajowych na zagraniczne, bo taki właśnie jest klimat? Czy może wyniki rozmów londyńskich są tak ciekawe, że trudno dać jednoznacznie ocenę i w takim razie... niech komentator polityczny idzie nie spacer, zamiast zwracać głowę czytelnikom? Chyba ani to, ani to. Wydaje się, że dowcip polega na dość powszechnym pojęciu szczególnej cechy londyńskiej wizyty; nazwijmy ją dwupiętrowością. Pierwsze piętro, to sprawa zrozumienia wzajemnego. Drugie — porozumienia co do konkretnych zagadnień. Ocena dyskutanta zale-

ży od tego, na które z nich spojrzy. Pierwsze upowaznia do wniosków optymistycznych, drugie — raczej pesymistycznych. No dobrze, ale to jest ocena cząstkowa. A jeśli spojrzymy na całość? Artyfaktyka odpowim — zero. Polityka — jednak plus. Bo wartość tych piętrow jest zupełnie nierówna: podobnie jak w życiu, droga na drugie piętro prowadzi przez pierwsze; jeśli na nie wejdziesz, jesteś o połowę bliżej. Za to odwrotnie, gdyby ktoś próbował na siłę — powiedziałbyś: nie — wejść na wyższą kondygnację, omijając niższą, to droga taka jest zawsze karkołomna i nie rokująca nadziei. A tak byłoby, gdyby w komunikacie próbowano sformułować porozumienie co do spraw, które wymagają zbliżenia bliższego, niż aktualnie istniejące. Ta dwupiętrowość wyjaśnia, moim zdaniem, pewną rozbieżność między tonem i treścią oficjalnego komunikatu i — nie mniej oficjalnych — przemówień. Każda z tych form odnosiła się przecież do innego piętra.

Tych, którzy nie czują się przekonani moim „budowlanym” wywodem, chciałbym zapoznać z opinią angielską wyrażoną przez dyplomatycznego korespondenta „Timesa” — nieurzędowego organu brytyjskiego MSZ — który powołując się właśnie na kota Foreign Office pisze — „Mówi się, że rozmowy zmierzają do trzech celów. Pierwszym z nich było ustanowienie osobistych kontaktów. Przywódcy rosyjscy nie tylko przeprowadzili długie dyskusje z brytyjskimi ministrami, ale również zapoznali się z reakcją przeciwnych ludzi i... przekonali się, że społeczeństwo brytyjskie przygotowane jest do pokojowego i przyjaznego współistnienia. Pod tym względem wizyta może być uznana za sukces. Drugim jej celem było przeprowadzenie szczytowej dyskusji. W tej dziedzinie wszystko świadczy o krańcowej otwartości Rosjan i Brytyjczyków. Trzecim było utworzenie drogi do porozumień...”

Falszywe byłoby jednak zamknięcie komentarza (po uprzednim rozwodnieniu, bo ktoś pisze komentarz na sto wierszy!) radośnym stwierdzeniem, że rozmawiali szczerze, nie pokłóli się, wobec czego wizyta opłaciła się (dosłownie według Edena, który nazwał ją „worth while”) i możemy darować sobie konkrety. Z pewnością nie. Spójrzmy na te konkrety w największym obiektywizmie.

Biedna, stara Europa! można by raz jeszcze wykrzyknąć po odczy-

tanlu komunikatu londyńskiego. W istocie, ten najbardziej konfliktowy region świata nie zrywa bezpośrednio żadnych owoców z wizyty Bulganina i Chruszczowa. Sprawa Niemiec — serce europejskich problemów — była na pewno długo dyskutowana, ale utknęła na martwym punkcie. Podobnie utkniła w impasie sprawa rozdzicia kontynentu na dwa bloki: NATO i Układ Warszawski; o tym komunikat nawet nie wspominał. Oczywiście nie mamy się z czego cieszyć, chociaż nie możemy także zgodzić się z Adenauerm, który sprawę Niemiec uznał za jedyny wartościowy punkt obrad konferencji i na tej podstawie nazwał ją kompletnym fiaskiem. Ale pomyślmy rozsądnie: czy w ogóle te sprawy mogły być załatwione? Nie chodzi już o krótki czas wizyty. Bardziej chodzi o rozmówców. Złośliwie, ale z dozą słuszności pisał o tym paryski „Franc Tireur” — „Anglo-radziecki komunikat z Londynu stwarza ciekawy precedens: wykazuje mianowicie, co może przynieść dyskusja we dwoje, kiedy jedno (ZSRR) może działać samodzielnie, podczas gdy drugie (Anglia) nie może niczego rozwiązać samo”. Istotnie, nie umniejszając i znaczenia musimy stwierdzić fakt historyczny: system ścisłych powiązań, w jaki od II wojny światowej weszła Anglia w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi, uniemożliwia jej samodzielne rozstrzygnięcie najważniejszych problemów. I to nie tylko w stosunkach z państwami trzecimi, gdzie wiążą ją wielostronne układy. Inny punkt rozmów londyńskich dowodzi, że współzależność z USA rzuca także cień na sprawy należące do dwustronnych stosunków Wielkiej Brytanii z innym państwem.

Myślę oczywiście o handlu anglo-radzieckim. Wiemy z komunikatu i wypowiedzi radzieckich gości, że ZSRR oferuje zwiększenie swych zakupów do wysokości 800—1000 mil. funtów w ciągu pięciu lat. Nie trzeba dowodzić, jak bardzo życiodajny byłoby to zastrzyk dla niepróżnoważonej dziś gospodarki brytyjskiej, wykazującej się od lat chronicznie ujemnym bilansem handlowym (czyli nadwyżką importu nad eksportem); zwiększenie możliwości przemysłu brytyjskiego, zahamowanie odpływu dewiz i złota, ustabilizowanie waluty — żeby wymienić elementarne korzyści. Nic dziwnego, że najpoważniejsze pismo brytyjskiej finansjery — „Financial Times” pisał — „Najbardziej uderzającym dowodem,

że Rosjanie pragną nowego startu, są ich propozycje handlowe. Cyfry są oczywiście wielkie, ale poparte szczegółową — listą artykułów, które studiują teraz nasze biura handlowe... Jest to o wiele więcej, niż mogli oczekiwać najpoważniejsi eksperci brytyjscy”. Dlaczego jednak komunikat zatrzymał się w pół drogi? Dlaczego mowa w nim nie o uzgodnieniu wymiany handlowej w tej wysokości, tylko o radzieckiej ofercie? Dlaczego przedstawiciele Zjednoczonego Królestwa ograniczyli się do wskazania, „że część pozycji figurujących na tej liście objęta jest istniejącą kontrolą towarów strategicznych”? Odpowiedź — patrz wyżej... I tylko tam, bo lista embargo nie jest uzasadniona żadnymi angielskimi interesami gospodarczymi. Istotnie, ponad połowa nomenklatury oferty radzieckiej nie dotyczy tych towarów. Ale ZSRR stawia jakby junctum między obawami o bezpieczeństwo i o moźną przewidywać, że rząd brytyjski stoi przed ostrym dylematem: poprawa własnej ekonomii czy uległość sojusznikowi zza oceanu? W rozwiązaniu tego dylematu duży głos będzie miała brytyjska opinia publiczna.

W swym rejsie do wybrzeży Brytanii krążownik „Ordonnikidze” eskortowany był nie tylko eskadrą myśliwców. Poprzezła go dobra flota Brytyjczyków jaskółka — oświadczenie radzieckie MSZ w sprawie Bliskiego Wschodu. ZSRR poparł tam inicjatywę ONZ zabezpieczenia pokoju w gorącej strefie Palestyny. Stanowisko to potwierdził komunikat londyński, który w tej mierze ujawnił zgodność poglądów obu rządów. Jest zupełnie zrozumiałe, że rząd angielski, mający już tak wiele kłopotów w regionie „Middle Eastu” z ulgą powitał radziecką współpracę nad uspokojeniem konfliktu arabsko-izraelskiego, i że ten punkt Anglii zapisują na swoje dobro w bilansie wizyty. A przy tej okazji wyszło na świat, jak bardzo kraj Bliskiego Wschodu liczą się ze Zw. Radzieckim. Bo nikt mi nie wytłumaczy, że sukces Hammerskjolda — przerwanie ognia na granicy egipsko-izraelskiej — przypadkiem tylko nastąpił dwadzieścia cztery godziny po wydaniu wspomnianego oświadczenia. Premier Eden realistycznie ocenił sytuację. Zapowiedział sformułowanie „Frankfurter Rundschau”. — „Była to cena, którą Eden musiał zapłacić: w przyszłości nic złego, ani nie dobrego nie może się tam dzieć bez Moskwy”.

Osobny protokół, dołączony do komunikatu, zapowiada istotne rozszerzenie wymiany kulturalnej i naukowej. Dobrze, że znaczenie tego elementu — często niedocenianego, jako coś mało konkretnego — podkreślone zostało właśnie w formie osobnej deklaracji. Bo gdy minęły czasy, że politykę tworzyły wyłącznie rządy, wzrosła odpowiednio rola osobistych, chociaż nieoficjalnych kontaktów, które budują rzecz może najważniejszą — wzajemne zaufanie.

Powiedzieliśmy na początku, że komunikat dał niewiele w konkretnych sprawach. To nie znaczy, że nie stworzył perspektyw dla tych konkretnych spraw. Wyciżmy je sumarycznie. 1. Eden przyjął zaproszenie do Moskwy, na dalszy ciąg dyskusji. 2. komunikat zwiększa szanse osiągnięcia porozumienia w sprawie rozbrojenia, w każdym razie pozwala oczekiwać na nowe, bardziej elastyczne propozycje z obu stron. 3. zarysowuje się współpraca mocarstw na terenie Bliskiego Wschodu. 4. z oświadczeń przywódców radzieckich wynika, że ZSRR widzi w Anglii ważnego pośrednika w naprawie stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, które — badamy szczerzy — dalekie są od dobrych. 5. rozjaśnia się — jak już mówiliśmy — perspektywy wymiany handlowej między tymi krajami.

Komentarz ten warto zakończyć dwoma słowami o atmosferze, w

jakiej Wyspa przyjmowała radzieckich gości. Warto tym bardziej, że część prasy zachodniej, reakcyjnej w nastawieniu politycznym, a — mówiąc łagodnie — popularnej w poziomie, specjalizowała się w malowaniu tej atmosfery w ciemnych barwach. Istotnie były pewne zgryzoty. Do nich należy nieudany obiad u labourystów, na którym gospodarze zachowywali się zgola prowokacyjnie. Do nich należą pewne wystąpienia grup emigracyjnych. Do nich wreszcie — i tu wina spada na rząd angielski — należy sam program wizyty, który nie pozwalał gościom na zbliżenie się do ludności; używając powiedzenia Chruszczowa, wszystko pokazywano im przez szybę samochodu. Ale ważniejsza jest znamienista ewolucja, podkreślana przez dosłownie całą prasę brytyjską: od początkowej uprzejmej rezerwy do przyjaźni bezpośredniości, skulminowanej na konferencji prasowej Bulganina i Chruszczowa. I ta ewolucja zachodziła chyba nie tylko wśród brytyjskiej publiczności i prasy. Mamy uzasadnioną nadzieję, że podobny proces odbywał się za zamkniętymi drzwiami empirowej sali posiedzeń na Downing Street i w pokojach zamku Chequers. Tę nadzieję dzielił pewno z nami ów dziennikarz angielski, który w dniu wydania komunikatu napisał: „The world seems to be a more hopeful place this morning” — „dziś rano świat wydał się pełen obietnic”.

### KOMUNIKAT ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „Dziś i Jutro” zawiadamia uprzejmie P.T. Prenumeratorów, że opłacona przez nich prenumerata zostanie w całości zaliczona na poczet prenumeraty nowego tygodnika „Kierunki”. Administracja wyjaśnia przy tym, że dotychczasowi prenumeratory tygodnika „Dziś i Jutro” będą otrzymywać nowy tygodnik „Kierunki” przez cały okres czasu, za jaki prenumeratę opłacili bez obowiązku czynienia jakichkolwiek dopłat.

Prenumerata nowego tygodnika „Kierunki” wynosi: miesięcznie 6,50 zł, kwartalnie 19,50 zł, półrocznie 39 zł, rocznie 78 zł  
Cena pojedynczego numeru 2 zł.

# PRZYSZŁOŚĆ

**C**ZŁOWIEK istnieje na ziemi od przeszło 250.000 lat. Jednym najstarszym znanym nam cywilizacją nie licząc więcej niż 8000 lat. Przez kilkadziesiąt tysięcy lat ludzkość zdobywała umiejętności pozwalające na zbudowanie owych pierwszych cywilizacji, umiejętności w zakresie rolnictwa, tkactwa, garncarstwa, hodowli bydła i metalurgii. Jedną z cechą charakterystyczną dla tych wszystkich cywilizacji. Otóż energia potrzebna do wykonywania pracy mechanicznej dostarczana była przez mięśnie ludzi lub zwierząt. Ten sposób otrzymywania energii podlegał bardzo zasadniczym ograniczeniom. Człowiek ciężko pracujący fizycznie zdolny jest dostarczyć w ciągu osmiu godzin energię wynoszącą nie więcej niż 100 kilowatogodzin pracy użytecznej. Jest to energia, jaką pobiera z sieci elektrycznej w ciągu jednej godziny zwykłe żelazko do prasowania. Energia wytwarzana obecnie w krajach przemysłowych wynosi około 20 kilowatogodzin dziennie na jednego mieszkańca.

Gdyby czerpana ona była z pracy mięśni ludzkich, to dla otrzymania tej ilości energii w ciągu jednego dnia musiałoby ciężko pracować 40 niewolników. W krajach wysoko uprzemysłowanych codziennie zużycie energii na głowę sięga nawet wartości dwukrotnie wyższej, a więc równoważonej pracy 80 niewolników. Widać stąd wyraźnie, że w tych dawnych czasach owoce cywilizacji wykorzystywane były tylko przez nieliczną grupę. Widać również, że miarą postępu i cywilizacji w jakimś kraju może być ilość wytwarzanej energii przypadająca na jednego mieszkańca. Z tego powodu zagadnienie energii i zagadnienie źródeł energii jest dla ludzkości zagadnieniem zasadniczym. W dalszym ciągu artykułu zajmijmy się wyłącznie zagadnieniem wykorzystania energii jądrowej (atomowej) dla zaspokojenia zapotrzebowania ludzkości na energię. Pominiemy zupełnie — ze względu na brak miejsca — bardzo ważną dziedzinę zastosowania izotopów promieniotwórczych.

Konferencja genewska w sprawie pokojowego wykorzystania energii jądrowej do celów pokojowych rozpoczęła nową epokę w dziejach ludzkości. Rozpoczęła ją nie tylko dlatego, że po raz pierwszy grono uczonych z całego świata omówiło otwarcie szereg problemów naukowych i technicznych związanych z wykorzystaniem nowej potęgi znanej dotychczas na ziemi niemal wyłącznie jako broń o straszliwej sile niszczącej.

Po raz pierwszy w historii ludzkości zostaje wprężony w służbę człowieka nowy rodzaj energii. Użytkowane bowiem od dawna formy energii sprowadzały się do energii słonecznej.

Zasadniczą cechą energii jądrowej jest to, że nie otrzymujemy jej od słońca. Mało tego — proces wyzwalania tej energii jest właśnie procesem zbliżonym do procesów, w jakich powstaje energia w gwiazdach.

Wiele cech składa się na zupełnie nowe oblicze techniki wykorzystania energii jądrowej, jako źródła energii, którą do techniki obejmujemy nazwą energetyki jądrowej. Zasady teoretyczne tworzące podstawy tej techniki są proste. Jednak techniczna realizacja tych zasad jest zadaniem bardzo trudnym. Wymagana jest tu niezwykła subtelność technologii, fantastyczna wprost czystość używanych materiałów i umiejętność zdalnego kierowania bardzo skomplikowanymi czynnościami ze względu na niebezpieczne dla człowieka promieniowanie. Inną cechą, która wyraźnie wyciska swe piętno na energetyce jądrowej, jest niesłychana koncentracja energii. Energia zawarta w bryle uranu równoważna jest energii zawartej w około milionokrotnie większej ilości węgla. Znamienne jest też to, że w odróżnieniu od słowni węglowych, które są w istocie bardzo do siebie podobne, znamy już w tej chwili około dziesięciu typów silowni jądrowych różniących się zasadniczo między sobą. Jest jeszcze szereg innych cech właściwych energetyce jądrowej, które omówimy na końcu, rozpatrując niebezpieczeństwa, jakie w sobie kryje era atomowa.

Mówimy, że konferencja genewska zapoczątkowała erę atomową, lecz oczywiście jest, że przełom ten nie dokonał się nagle. Poprzedzony on był ponad 50-letnimi ofiarnymi badaniami uczonych, sierpieniowymi dniami grozy roku 1945 w dwu miastach japońskich, i ponurym 10-leciem wysięgu zbrojen atomowych.

W okresie odprężenia i zarysowujących się możliwości pokojowego współistnienia różnych krajów, perspektywy zastosowania energii jądrowej weszły w nową fazę.

**N**ALEŻY wyraźnie zaznaczyć, że jest już najwyższy czas na to, by ludzkość zajęła się poważnie energetyką jądrową. Przyczyną są dwie. Pierwszą (wcale nie najważniejszą) jest to, że zapasy paliw (ropa naftowa, węgiel) są na ukończeniu. Nie można tu, niesłusznie, przytoczyć dokładnych cyfr, gdyż poszczególne oceny tych zasobów znacznie się różnią. Zdaniem jednych istniejące zapasy wystarczą na niewiele ponad 20 do 30 lat, zdaniem innych na kilkadziesiąt lat. Trudność oceny związana jest w dużym stopniu z faktem, że eksploatacja wielu spośród znanych złóż jest nieopłacalna.

Znacznie ważniejsza jest jednak przyczyna druga. Otóż zarówno węgiel, jak też ropa naftowa stanowią surowce zgola bezcenne dla przemysłu chemicznego. Otrzymujemy z nich nierzalczym tworzywa sztuczne, lekarstwa, barwniki i wiele in-

nych produktów. W działających w chwili obecnej elektrowniach i ciepłowniach, w środkach transportu i komunikacji ulatują w powietrze co roku tysiące ton wartościowego surowca. Rzecz jasna, że za późno byłoby myśleć o energetyce jądrowej, gdy tradycyjnych paliw zbraknie.

Postaramy się podać poniżej kilka cyfr charakteryzujących przewidywany rozwój energetyki jądrowej na świecie w świetle danych udostępnionych na konferencji genewskiej oraz danych opublikowanych w okresie pogewewskim.

Aby nasze rozważania były konkretne, wprowadzimy jednostkę ilości energii. Zwykle używa się jednostki oznaczonej przez Q. Jest to taka ilość energii, jaką można otrzymać przez spalenie 33 miliardów ton węgla.

Ocenia się, że od początku istnienia ludzkości do roku 1850 zużyto 9 Q energii. W roku 1850 zużywano na jedno stulecie około 1 Q, lecz zużycie to szybko wzrasta i w chwili obecnej taka ilość energii (1 Q) wystarcza zaledwie na 10 lat. Bardzo ważną sprawą jest zatem ocena przyszłego wzrostu zużycia energii. Na wzrost zużycia składa się wzrost ilości mieszkańców ziemi oraz wzrost zapotrzebowania energii na jednego mieszkańca w związku z podnoszącą się stałą stopą życiową. Ilość mieszkańców ziemi w r. 100 po narodzeniu Chrystusa wynosiła około 300 milionów i na tym poziomie pozostawała do połowy XVII-go wieku. Wówczas to rozpoczął się gwałtowny wzrost przyrostu naturalnego. W roku 1900 ilość mieszkańców ziemi wyrażała się liczbą 1500 milionów, w roku 1930 — 2000 milionów, a w roku 1950 — 2300 milionów. Przypuszcza się, że w r. 2000 liczba ta będzie wynosiła od 4000 do 5000 milionów. Drugi czynnik wzrostu zużycia energii — przeciętny wzrost zapotrzebowania na energię na jednego mieszkańca wynosi w ciągu ostatnich 20 lat około 2%, rocznie. Obecnie wynosi on 3% rocznie. Tempo wzrostu w krajach gospodarczo zacofanych będzie na pewno szybsze, lecz stanowi ono wielką niewiadomą utrudniającą przewidywania. Należy zauważyć, że z produkowanej obecnie energii 1 Q w dziesięciolecie niemal całość, bo 80%, uzyskujemy obecnie ze spalania węgla, ropy naftowej i gazu. Elektrownie wodne pokrywają tylko 2% zapotrzebowania, a energia mięśni stanowi tylko 1%. Pozostałą część energii tj. ok. 15% otrzymujemy się głównie ze spalania drzewa.

Zasoby paliw „klasycznych” (węgiel, ropa, gaz) wyrażone w jednostkach Q, oceniane są na 40 Q przez jednych, na 100 Q przez innych. W każdym razie raczej ryzykowne jest oczekiwać, by starczyły one na więcej jak jedno stulecie. Przytoczone cyfry, świadczą więc wyraźnie o tym, że rozwój energetyki jądrowej jest obecnie dla ludzkości bezwzględnie koniecznością.

Warto tu jeszcze podkreślić, że złoza paliw klasycznych pochodzą sprzed około 250 milionów lat. Złoza te powstawały przez wiele setek tysięcy lat. Zostały one w znacznym stopniu zużyte przez ludzkość w ciągu kilku stuleci, co w geologicznej skali czasu jest zaledwie chwilą.

Przy planowaniu rozwoju energetyki jądrowej przyjmuje się, że roczne zapotrzebowanie światowe na energię wzrośnie półtorakrotnie do roku 1975, a trzykrotnie w okresie 1975—2000, w stosunku do obecnego rocznego zapotrzebowania. Zapotrzebowanie to wynosi obecnie, jak wiemy 0,1 Q, co w przeliczeniu na ton węgla daje liczbę 1,7 miliarda ton. Roczne zaś zapotrzebowanie w końcu obecnego stulecia wyniesie 7 do 8 miliardów ton węgla. Około połowa tej energii winna być wytworzona w postaci energii elektrycznej.

Przypuszcza się, że w tym czasie energia spadku wód będzie już całkowicie wykorzystywana. Jednak możliwości hydroenergetyki nie są zbyt duże. Przewiduje się, że hydroelektrownie w roku 2000 wytworzą będą rocznie energię równoważną jednemu miliardowi ton węgla. Pozostałą część energii elektrycznej winny wytwarzać konieczne elektrownie jądrowe. Zatem wymagana od nich energia winna stanowić równoważnik trzech do czterech miliardów ton węgla.

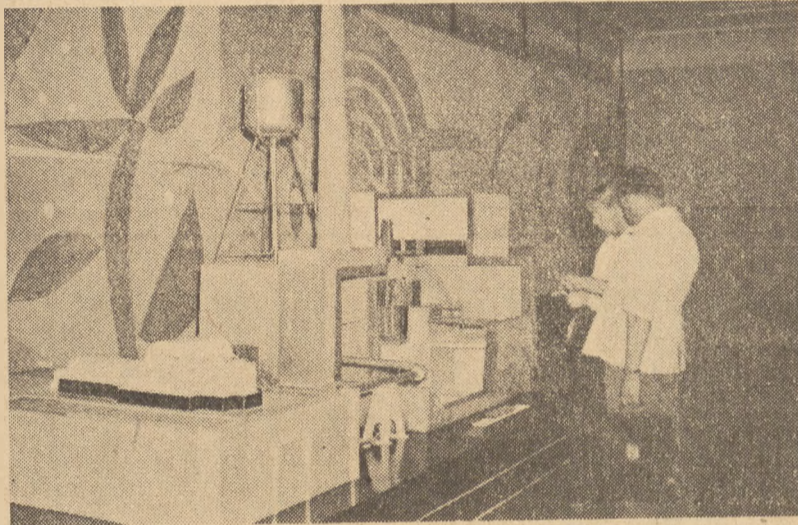
Spożywa na nas odpowiedzialność przed przyszłymi pokoleniami za oszczędne i rozumne gospodarowanie zasobami paliw. Należy się zatem zastanowić, jakie są obecnie możliwości realizacji planów rozwoju energetyki jądrowej.

Stosunkowo obszernych materiałów na ten temat dostarczyła na konferencji genewskiej Związek Radziecki. Doświadczenia uzyskane w niewielkiej jeszcze, ale pracującej wyłącznie dla celów energetycznych, radzieckiej elektrowni jądrowej, są cennym wkładem w dzieło rozwoju energetyki jądrowej. Ujawniono również wiele szczegółów dotyczących różnego typu doświadczalnych elektrowni jądrowych. Sporo materiału na ten temat dostarczyły również Stany Zjednoczone. W budowie jest już szereg dużych silowni jądrowych, tak, że w przeciągu najbliższych dwu lat uzyska się wiele dalszych szczegółów dotyczących pracy tych silowni i ich opłacalności. Przewiduje się, że w przeciągu najbliższych pięciu lat powstanie około 10 silowni jądrowych. Każda z nich będzie miała moc rzę-

dziesiąt kilowatów. Wiele z nich będzie nierzeczywiście na substancje rozszczepialne. Ogromne praktyczne znaczenie reaktora mnożącego polega na tym, że można w wielokrotnie większym stopniu wykorzystywać energię zawartą w naturalnym uraniu. Mało tego — można wytwarzać paliwo jądrowe z toru, który w swym naturalnym stanie do tego celu zupełnie się nie nadaje. Jest to tym ważniejsze, że tor jest pierwiastkiem około 10-krotnie więcej rozpowszechnionym niż uran.

W reaktorach mnożących tona uranu dawałaby energię równoważną co najmniej milionowi ton węgla. Mnożenie paliwa uzyskano narazie w niewielkich doświadczalnych reaktorach, pracujących w Wielkiej Brytanii i USA.

W chwili obecnej trwa wyjeżdżająca praca nad uruchomieniem dużych reaktorów mnożących. Występuje tu i na pewno wystąpi jeszcze szereg bardzo trudnych problemów badawczych i technicznych, lecz należy się spodziewać, że w drugiej dekadzie tj. ok. 1970 r. reaktor mnożący wkroczy już do energetyki jądrowej.



Model elektrowni atomowej uruchomionej w Związku Radzieckim

du 200 milionów watów. (Jest to moc 6-krotnie mniejsza od mocy potężnej radzieckiej hydroelektrowni „Dnieprostroj”).

Pamiętajmy, że energetyka jądrowa jest ciągle jeszcze w wieku niemowlęcym. Jednak zainteresowanie nauki i techniki tym problemem jest na tyle duże, że należy oczekiwać szybkiego jej rozwoju. Nie jest wykluczone, że silownia jądrowa w roku 1970 będzie tak różniła się od silowni z r. 1958, jak różni się nowoczesny silnik lotniczy od pierwszych konstrukcji silników spalinowych.

Jak przedstawia się sprawa kosztu energii produkowanej w silowniach jądrowych? Otóż przewiduje się, że w okresie najbliższych dziesięciu lat koszt ten będzie raczej wyższy niż koszt energii otrzymywanej z paliw „klasycznych” (węgiel i ropa naftowa).

Można jednak przypuszczać, że w drugim dziesięcioleciu koszt energii z silowni jądrowej spadnie poniżej kosztu energii z węgla i ropy.

O kosztach energii zdecyduje w bardzo dużym stopniu to, ile energii potrafimy „uzyskać” z jednej tony uranu lub toru. Pierwsze elektrownie jądrowe pozwoliły otrzymać z jednej tony uranu energię równoważną 10 000 ton węgla, lecz jest poważna szansa, że stosunkowo łatwo uda się zwiększyć tę liczbę do 100 000 ton. Dalszy postęp w tym kierunku wydaje się możliwy dzięki opracowaniu zupełnie nowego typu reaktora. Reaktor taki zwany reaktorem mnożącym lub reaktorem-powielaczem ma pozorne wszelkie cechy perpetuum mobile. Oto reaktor taki wytwarzając energię cieplną równocześnie wytwarza paliwo jądrowe i to w ilości większej od ilości paliwa zużytego. Wygląda to tak, jak gdyby elektrownia spalająca rocznie np. 10 000 ton węgla wytwarzała obok energii elektrycznej także węgiel i to w ilości np. 12 000 ton. Zasada działania reaktora mnożącego jest w pełni zgodna z prawami fizyki. Polega ona na tym, że tylko część wytwarzanych w reaktorze neutronów zużywana jest na podtrzymanie reakcji łańcuchowej, zaś pozostałe mogą być użyte do przetwarzania substancji

Z chwilą gdy to nastąpi, koszt paliwa dla silowni wyposażonej w reaktor mnożący będzie tylko kosztem operacji chemicznych polegających na usuwaniu z paliwa jądrowego wytworzonych w nim szkodliwych „popiołów promieniotwórczych”, które utrudniają prawidłowe działanie reaktora. Czynności takie wymagają zdalnego sterowania, a zatem silownia taka byłaby w pełni automatyzowana.

Nie odpowiedziliśmy dotychczas na jedno bardzo ważne pytanie. Czy występujące na ziemi zapasy paliw jądrowych, względnie materiałów, które można przetworzyć na paliwo jądrowe, są dostatecznie duże, aby pokryć na dłuższy czas potrzeby energetyczne świata. Okazuje się, że możemy o to być spokojni. Uranu i toru starczy na wiele lat. Przewidywane zapotrzebowanie roczne uranu lub toru wyniesie w r. 2000 kilka tysięcy ton. W chwili obecnej wiadomo już, że tylko w siedmiu krajach świata istnieją złoża zawierające ponad milion ton uranu. Zaś ilość toru jest, jak już wiemy, ok. 10-krotnie większa.

Widać stąd, że zapasy te winny wystarczyć na kilka stuleci.

Otrzymywanie energii z uranu i toru nie jest bynajmniej kresem możliwości energetyki jądrowej. Być może, że uda się uczynić ujarzmić nieokreślone dotychczas siły wyzwalane w procesie syntezy helu z wodoru, siły będące jak dotąd postrachem ludzkości, bo na ziemi wyzwalają się one jedynie w potężnym wybuchu bomby wodorowej. Jednak reakcje tego typu zwane reakcjami termojądrowymi służą ludzkości od czasów niepamiętnych, gdyż one są właśnie źródłem życiodajnej energii słońca. Na słońcu reakcje te przebiegają bardzo powoli, lecz niestety taki powolny przebieg jest możliwy tylko na słońcu. W naszych ziemskich warunkach zrealizowanie powolnie biegnącej reakcji termojądrowej wydaje się w tej chwili bardziej odległe niż przed skonstruowaniem bomby wodorowej. Przyczyną jest to, że reakcje te znamy już dość dobrze, a nie wiemy — jak dotąd — możliwości dostatecznie powolnego

wyzwalania energii termojądrowej.

Pamiętajmy jednak, że przyroda kryje ciągle jeszcze przed nami wiele niespodzianek. Wielki uczoney angielski, Rutherford, odkrywca jądra atomowego, jeszcze na rok przed odkryciem reakcji rozszczepienia, która jest podstawą zastosowania energii jądra atomowego, był przekonany, że wyzwoleń energii jądrowej na skalę techniczną jest zupełnie niemożliwe. Nie jest zatem zupełnie nieprawdopodobne przypuszczenie, że za pół wieku ludzkość okełzna także energię termojądrową, a wtedy zbiorniki paliwa staną się nieprzebrane masy wód wszystkich mórz i oceanów świata.

**S**PROBŪJMY teraz wyobrazić sobie, jaka sytuacja zapanuje pod koniec obecnego ćwierćwiecza, a więc ok. r. 1970. Jest zrozumiałe, że w poszczególnych krajach stopień wprowadzenia energetyki jądrowej będzie różny. Takie kraje, w których energia spadku wód występuje w dużej obfitości i jest tania, będą oczywiście rozwijały swoje hydroelektrownie jako podstawowe źródło energii. Typowym krajem tego typu jest Norwegia. W innych krajach np. w Szwecji, Francji i we Włoszech rozwój hydroenergetyki dobiegnie w tym czasie kresu możliwości i kraje te rozpoczną pokrywanie potrzeb energetycznych poprzez budowę silowni jądrowych. Wielka Brytania stanowi przeciwieństwo Norwegii, jeśli chodzi o hydroenergetykę — zasoby wód są tam znikome. Zapasy węgla są tam już skłape, a eksploatacja tych złóż droga. Przyczyną te stwarzają w Anglii szczególnie palącą konieczność jak najrychlejszego wprowadzenia energetyki jądrowej. Przewiduje się, że w 1975 połowa potrzebnej energii elektrycznej będzie tam wytwarzana w silowniach jądrowych.

Całkiem odmienna sytuacja istnieje w Stanach Zjednoczonych. Dysponują one bogatymi i tanimi w eksploatacji złożami węgla. Z tego względu głównym czynnikiem, który zdecyduje o tempie rozwoju energetyki jądrowej w USA, będzie cena energii otrzymywanej z silowni jądrowych. Przewiduje się, że zależnie od ceny, energia otrzymywana w silowniach jądrowych będzie wynosiła w r. 1975 od 1 do 15% całkowitej wytwarzanej energii. Podobnie należy oceniać sytuację w Kanadzie. Związek Radziecki przewiduje się na najbliższą pięcioletnią budowę kilku silowni jądrowych, 2,5-rych łączna moc wyniesie około 2,5 miliona kilowatów. Równocześnie poważnie rozwijana będzie hydroenergetyka. Na Syberii, na Jeniseju i Angarze powstaną gigantyczne elektrownie wodne. Każda z nich będzie miała moc 3,2 miliona kilowatów. W ten sposób moc elektrowni wodnych w ZSRR wzrośnie w ciągu 5 lat 2,7 razy.

Na szczególną uwagę zasługują sprawa energetyki jądrowej w krajach gospodarczo zacofanych. Typowym takim krajem są Indie. Produkcja energii na głowę jest tam dziesięciokrotnie mniejsza niż w Anglii, przy czym 80% tej energii otrzymuje się przez spalanie węgla naturalnego, które ze znacznie lepszym efektem mogłyby być użyte w rolnictwie. Ilość energii elektrycznej w Indiach na głowę jest 80-krotnie niższa, niż w Anglii. Planuje się 7-krotny wzrost tej wielkości do roku 1975. Moc potrzebnych do tego celu elektrowni wynosi 25 milionów kilowatów. Ponieważ zasoby wód w Indiach pozwolą uruchomić elektrownie o łącznej mocy 35 milionów kilowatów, zatem do r. 1975 i jeszcze w następnej dekadzie możliwe jest pokrywanie potrzeb energetycznych poprzez budowę elektrowni wodnych. Jednak w pewnych okolicach, gdzie rozwój hydroenergetyki nie będzie dostatecznie szybki ze względu na konieczność użycia zasobów wód do nawadniania terenu, energetyka jądrowa winna rozwinąć się wczesniej. W wielu miejscowościach, do których transport węgla wymaga dużego nakładu kosztów, powstają winny silowni jądrowe. Koszty transportu paliwa jądrowego są blisko milion razy mniejsze, niż koszty transportu węgla. Ten niezwykle niski koszt jest jedną z ogromnych szans, jakie daje energia jądrowa krajom gospodarczo zacofanym. Należy tu podkreślić jeszcze jeden fakt uwidoczniający się jasno w krajach gospodarczo zacofanych. Otóż rozwój tych krajów zależy od ich możliwości inwestycyjnych. W takich warunkach może okazać się znacznie ekonomiczniejsza budowa silowni jądrowej a nie węglowej, gdyż unika się w ten sposób ogromnych nakładów na budowę i eksploatację kopalni węgla i na jego transport.

Podobna sytuacja istnieje np. w Południowej Afryce, w Australii, w Kanadzie. Koszty transportu paliwa jądrowego są bardzo małe, gdyż — jak wiemy — energia jest w tym paliwie niezwykle silnie skoncentrowana. Np. zamiast transportować 11 000 ton węgla, wystarczy przewieźć tylko 10 kg uranu.

W południowo-zachodniej Afryce istnieją duże tereny położone w pobliżu oceanu, lecz pozbawione całkowicie wody słodkiej. Oczekuje się, że energia jądrowa zastosowana do demineralizacji wody morskiej pozwoli na stosunkowo niedrogo otrzymywanie dużych ilości wody słodkiej.

Zastosowanie energii jądrowej, pozwoli, być może, zrealizować tak gigantyczne zamierzenia, jak ogrzewanie Alaski i sąsiadujących z nią części kontynentu amerykańskiego, nawodnienie Sahary, pustyni Afryki Południowej i Australii.

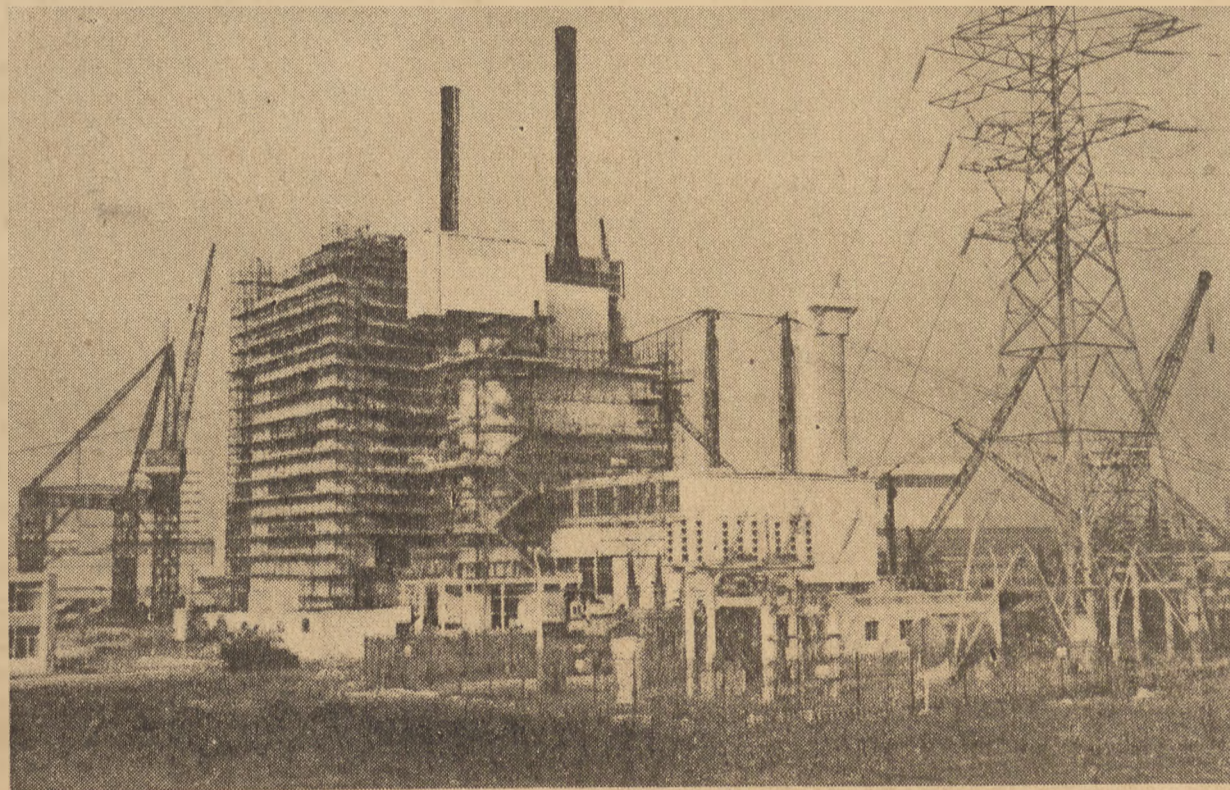
Można by wymienić jeszcze wiele przyszłych zastosowań energii jądrowej. My wspomnieliśmy tu jeszcze o perspektywach wykorzystania energii jądrowej w transporcie. Transport pochłania w chwili obecnej ok. 10% całkowitej energii wytwarzanej na świecie, a więc i w tej dziedzinie zastosowanie energii jądrowej stanie się już wkrótce koniecznością. Jednak zagadnienie silnika o napędzie jądrowym jest zagadnieniem bardzo trudnym i skomplikowanym. Można obliczyć, że energia otrzymana z bryki uranu wielkości orzecha laskowego wystarczyłaby na to, aby osobowo samochod okrążył czterokrotnie kulę ziemską. Nie znamy jednak, niestety, żadnego sposobu otrzymania energii z takiej ilości uranu. Silnik benzynowy może pracować, dopóki choć jedna kropla benzyny znajduje się w zbiorniku. Silnik jądrowy jest bardzo szczególnym typem silnika. Może on pracować tylko wtedy, gdy zaopatrzone jest w pełny zapas paliwa i zapas ten trzeba ustawicznie uzupełniać. W chwili obecnej wypróbowane typy reaktorów jądrowych są konstrukcjami o wadze wielu ton. Ponadto reaktor silnika jądrowego musi być otoczony potężną osłoną ze względu na silne promieniowanie, jakiego źródłem jest reaktor. Z tych względów energia jądrowa nie może być narazie wykorzystywana do napędu w małych środkach transportu. Natomiast zupełnie realne jest stosowanie napędu jądrowego do napędu np. dużych okrętów. Pierwszy krok został w tej dziedzinie uczyniony. Na początku 1954 spuszczone na wodę w USA jódz podwodną „Nautilus” wyposażoną w napęd jądrowy. W Związku Radzieckim zostanie w najbliższych latach konstruowany lodolamacz o napędzie jądrowym, są także dyskutowane projekty napędu jądrowego w lotnictwie i kolejnictwie. Brak jest, niestety, bliższych danych dotyczących kosztów napędu jądrowego statków. Oblicza się, że obecnie byłoby one 10-krotnie większe, niż koszty dotychczasowych systemów napędu. Jednym z trudnych, a jednocześnie bardzo istotnych problemów jest zabezpieczenie przed promieniowaniem wysyłanym przez reaktor i przed przedostawaniem się substancji promieniotwórczych wytworzonych w reaktorze poza jego osłonę. Te same trudności istnieć będą oczywiście przy konstruowaniu statków międzyplanetarnych, gdzie napęd jądrowy jest jedynym możliwym rozwiązaniem.

**W**NASZYCH dotychczasowych rozważaniach staraliśmy się wykazać, że rozwój energetyki jądrowej jest koniecznym warunkiem utrzymania i rozwoju zbudowanej przez człowieka cywilizacji. Musimy jednak wyraźnie wskazać trudności i niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą szybki rozwój energetyki jądrowej.

Spowoduje to oczywiście zwiększenie się znacznej liczby osób z promieniowaniem ciała radioaktywnych. Nasze wiadomości na temat szkodliwych skutków wywołanych w organizmie przez promieniowanie są jeszcze ciągle niewystarczające. Drugi problem, to zagadnienie „popiołów” lub odpadów promieniotwórczych. Na świecie wytwarza się obecnie ok. 30 kg tych odpadów dziennie. Ich promieniowanie równoważne jest promieniowaniu miliona ton radu. W roku 2000 ilość ta wyniesie przypuszczalnie 3 tony na dzień. Gdyby rozciągnąć tę ilość do dopuszczalnego stężenia w wodzie, to należałoby zużyć 5% objętości wody wszystkich oceanów świata. Na razie rozwiązuje się ten problem zamurowywaniem odpadów w betonowych skrzyniach, których trwałość winna wynosić ok. 200 lat. Skrzynie takie zatapia się w oceanie.

Ogromne zagrożenie energetyki jądrowej, które jest jedną z jej najbardziej atrakcyjnych cech w zastosowaniach pokojowych, zawiera w sobie równocześnie ogromne niebezpieczeństwo, gdyż jest również cechą atrakcyjną dla zastosowań niszczycielskich. Rozwój energetyki jądrowej wymaga nagromadzenia dużej ilości paliwa jądrowego. Paliwo to może być bez większego trudu zamienione w pociski i bomby atomowe. Zatem tylko szczerą wolą pokoju wszystkich narodów świata, i skutecznym systemem kontroli paliw jądrowych może uchronić ludzkość przed katastrofą.

Podstawowe prawo fizyki jądrowej odkryto i poznano dokładnie przed drugą wojną światową. Był to wielki wysiłek uczonych wielu krajów. Uczeń ci współpracowali ściśle ze sobą i dzielili się szczerze informacjami o swych osiągnięciach. Atmosferę swobodnej wymiany informacji naukowych położyła kres drugą wojną światową. Dalsze prace prowadzone w poszczególnych krajach za parawanem tajemnicy. Genewska konferencja wykazała, że mimo to osiągnięto w poszczególnych krajach duże sukcesy w opowiadaniu energii jądrowej. Konferencja ta przyczyniła się w znacznym stopniu do zniesienia wielu przeszkód dzielących uczonych różnych krajów. Idąc przez świat falą odprężenia politycznego przyczyniła się do usuwania dalszych przeszkód. Należy przypuszczać, że jeżeli sukcesy osiągnięte w izolacji wzajemnej są tak wielkie, to wspólny wysiłek da wyniki jeszcze wspanialsze, wyniki, które pozwolą uczynić życie wszystkich mieszkańców całej kuli ziemskiej pełniejszym i szczęśliwszym.



Calder Hall (Anglia). Reaktory atomowe w budowie



ONA

Ona nie wie na pewno, że tu, gdzie zgubiłem twarz, sprzęty mówią mi o twym smutku, Mario. Stół w kraju, gdzie kaleczą mnie dni, drga wzruszeniem twych rąk — i rozumiem go. Drzewa niosły przecież oddech ziemi, jej śpiew. Będąc z tobą, Mario, mówiłbym: — żałuj, żałuj, nigdy już skała nie pęknie z trzaskiem. Żałuj, umarły burze. Zgasły ptaki siwiutkie i miękkie, nigdy już, Mario, nie zakwitnie świerk, nie zakipi śnieg, nigdy. Żałuj, Mario, tych strat. Ale teraz? Wszystko wydaje się śmieszne. Kocham cię, i rozłączono nas. Ból, Mario? Pochylmy głowy. Skonał głos Ymy Sumac.

DRWALE

Wiązki chmur trzeszczą nad borem. Kora zbożem palonym pachnie. Brwi wysuszone mchu na kamieniach powiedłych. Żywicowe nawisy sierpnia w przestrzeni zmaterializowanej do lepkości. W drzazgi traw leżą kropki szczypiące z osiemnastu czoł, z ciał osiemnastu — wspólnym wysiłkiem złączonych w niemy, słabnący mięsień.

KTO IDZIE ZNOWU

Ze śpiewem Starym drogami pochmurnymi w pelerynach ponocnych mgieł. Z pieśnią zardzewiałą wśród wierchołków pomazanych światłem, drżących w zadziwieniu ptasim. Głos podcina strzały sosnowe, rozpinające błękit i woń. Chmury — śniegowe góry brzęczą pękają. Wieczór w strzępach

jagodowych pian. Rzeczy mała w kraju, gdzie ogień tylko niezmienny — szyszko skro zielna, spójrz: „Idą nie polni i nie leśni, ci, co bolesnym słońcem września dach podpalili mej ojczyzny“.

KOŁYSANKĘ ŚPIEWAM Z ODDALI

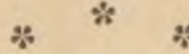
O tym zachodzie tanecznym wiązki cieni skruszały, glazy porosły ogniem, sierść nastroszył mech... O tym zachodzie tanecznym bór zalał słońce, mrok wyostrzył szabelki traw i zapachniał smolistą żywicą... O tym zachodzie tanecznym dzwony ciężarne piły dal... Śpij, Marysiu.

W NASZEJ DZIELNICY

Laskotliwy skrzyp dni. Beczka przestrzeni rozeschnięta. Melodyjka boleśnie sensowna: jeścićpiśpać. Chude wróbelki spojrzeń. Co wiozą wozy? Co wiozą wozy. I szeleszczą nasze oddechy jak papierki rzucone na schodach.



Jak Cię przywita tamten brzeg — żono moja, Mario bolesna. Echa kamiennych szlaków punktowane wkleśłym pocałunkiem, uśmiechem zardzewiałym — polatują płytko niecąc kurz. O krę dni potykały się Twoje marzenia, problemy lżejsze od niedojrzałych jabłek. Syczy para z umarłych słów, trzeszczą cierpko galezie zwiędłych łez. No, powiedz — czym Cię przywita tamten brzeg? Na rogach ulic sterczą krzywe latarnie wspomnień.



„O Boże odejmij upań tak straszny że już wróbelki piją okruszki cieni“

„obiokiem leku obejmij kombinaty gruźlicze“ „przydaj powagi mym śladom prosi Cię sługa niesforny“

„galezie ukwieć rześście by śpiewał donośnie owoc“

„lasy nieznane ukłaruj ścieżkom daj cel nienazwanym“

A ja wciąż jestem smutny, Panie, że moje myśli o Tobie nie obrastają w sens.



rys. Gabriel Rechowicz

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

# DWUDZIESTOLECIE

DWADZIEŚCIA lat życia<sup>1)</sup> — tytuł utworu, który — do prawdy — można uznać za symboliczny, streszczający w sobie nie tylko historię jednostki, Kamila Kuranta, ale i społeczne, zwłaszcza zaś kulturalne dzieje epoki — właśnie dwudziestolecia. Na tej powieści, którą Uniłowski zapisał się — o ile to można dziś sądzić — w historii naszej literatury, zaznaczył się niezwykle wyraziście cechy lat przedzielnego od roku 1956 przejęcia drugiej wojny światowej. Z kart literackiej biografii młodego chłopca możemy przecież odczytać nie tylko to, co nas od lat międzywojennych dzieli — ale i to, co z nimi łączy.

„Dwadzieścia lat życia“ jest powieścią typową dla literatury międzywojennej najpierw ze względu na oddany w niej kult faktu, nieposkromioną chęć jak najwierniejszego jego opisu. W niesłusznym zapomnianej ankiecie na temat: „Jak oceniam literaturę dwudziestolecia“, rozpisaną wśród literatów przez „Twórczość“ wspominał Stefan Kisielewski także i o tym, że była to literatura (a może raczej: chciała nią być) najpełniej „normalna“, gdyż pozbawiona ciężącego na niej od 120 lat obowiązkującego zadocęczywania patriotycznym uczuciom i potrzebom Polaków. W książkach wydanych w dwudziestolecie, szczególnie zaś w powieściach, można rzeczywiście zaobserwować niezwykle łapczywe pochlanianie — częstokroć bez dostatecznego przetwarzania, obróbki artystycznej — faktów, ludzi, środowisk, które dotąd nie posiadały obywatelstwa w polskiej literaturze, jako zbyt mało lub wcale niespokrewnione ze sprawą niepodległości. Dlatego właśnie w dwudziestolecie narodził się tzw. autentyzm lub proza autentyczna — fotografia literacka, zachowująca z dokumentarną dokładnością wszystkie realne cechy opisywanego tematu — literatura w stosunku do tegoż tematu całkowicie służebna. Tego, że brak tendencji jest właśnie tendencją, brak interpretacji jest właśnie interpretacją — w środowisku pisarzy międzywojennych na ogół nie rozumiano, nie chciano rozumieć.

W powieści Uniłowskiego jest wiele z tak pojętego autentyzmu, bardzo wiele z pisarskiej wierności dla obejrzanego, przeżytego faktu. Jeśli wczytamy się w szcuple dane biograficzne małego kandydata na kelnera, któremu między innymi Karol Szymanowski dopomógł do wejścia w pierwszy szereg prozaików dwudziestolecia — zrozumiemy, że w Kamili Kurancie, jego losach, doświadczeniach i obserwacjach

jest z samego Uniłowskiego — jak bardzo wiele „Dwadzieścia lat życia“ zawdzięcza najbardziej osobistym ludzkim perypetiom autora tej książki. Można tu się zgodzić ze Zbigniewem Mitznerem (choć na ogół trzeba mieć do niego żal za bezbarwny wstęp do obecnego wydania powieści), że technika artystyczna zastosowana w „Dwudziestu latach życia“ nie nadaje się do krytyckiego zaszklawiania — jest bowiem czymś, co narzuciło pisarzowi samo życie, sam podjęty przez niego temat.

Wiadomo, że literatura międzywojenna nie wydała poza „Nocami i dniami“ Marii Dąbrowskiej (a i tę książkę można uznać za powieść historyczną z niedalekiej przeszłości) eposu o współczesności na wielką miarę. Powieść dwudziestolecia, ta, która mówiła o czasie i życiu przepływającym obok pisarzy, z jakąś natrętną wytrwałością unikała na ogół obiektywizowania wizji artystycznej, spojrzania na świat oczyma ludzi, a nie jednego człowieka. Indywidualny, samotny bohater oglądający, ba, niejednokrotnie opowiadający w pamiętniku lub wspomnieniu to, co tylko jego własna historia osobista zdolała mu przekazać z wiedzy o rzeczywistości — oto najbardziej ulubione przez pisarzy dwudziestolecia literackie medium, kształtujące przesłanki ideowe i kształt artystyczny ogromnej większości międzywojennej prozy. Wybór takiego bohatera był zarazem przyjęciem szeregu założeń i zastrzeżeń, przy których naszkicowana wizja artystyczna mogła nawet pretendować do wiarygodności realizmu. Międzywojenny prozaiak, który decydował się referować (obojętnie jak: psychologicznie, naturalistycznie, freudystycznie) przeżycia swego bohatera — nie zdradzał wierności dla wybranych przez siebie faktów, ale jednocześnie nie przyjmował odpowiedzialności za sprawy ludzkie leżące poza tym wyborem, za całą społeczną treść czasu, w którym żył i tworzył. Decyzja — nie pozbawiona posmaku tragizmu...

Taka decyzja musiała leżeć u źródeł koncepcji twórczej „Dwudziestu lat życia“. Wydaje mi się bowiem nieporozumieniem „przeziąć pałkę“ (tak jak to czyni Mitzner) w sprawie „Dwudziestu lat życia“ w drugą stronę i twierdzić, że Uniłowski w swej ostatniej powieści zerwał jakoś zasadniczo z klimatem — nie tylko literackim — dwudziestolecia. W tym utworze pewne cechy międzywojennej polskiej prozy zostały tak skondensowane, sfabrykowane, że nadały niektórym (właśnie) faktom, zdarzeniom z życia dziecka, wyrostka — w konspieku drugiego tomu utworu, w „Dniu rekruta“, młodzieńca — siłę protestu i oskarżenia, jakiegoś

przejmującego żalu na świat i społeczeństwo, które dopuszcza do takich dwudziestu lat życia... Ale w tym proteście wyczuwa się jeszcze brak dojrzałości oskarżyciela, niechęć do zgłębienia przyczyn istniejącego stanu rzeczy, do genetycznego ujęcia opisywanych faktów, do przyjęcia pełnej odpowiedzialności za opisywaną rzeczywistość.

BOHATER utworu Uniłowskiego jest nie tylko typowy ze względu na swoją jedyność, despotyczną pierwszoplanowość — ale i z uwagi na swoje pochodzenie społeczne, na środowiska, które ogląda i w których żyje — jakie kocha i nienawidzi. Proza międzywojenna ze szczególną lubością zstępowała w „dół“ społeczne, opisywała środowiska, które dla literatury pozytywistycznej były przedmiotem (w pozytywnym znaczeniu tego słowa) filantropii, a które w latach 1918-39 przeżyły swoisty awans na atrakcyjnego, sensacyjnego nieraz, bohatera literackiego. Przerzucanie przez Uniłowskiego Kamila Kuranta na zmianę w różnej skali — dobrobyt i nędzę materialną, w grupę ludzi zbieżnych według ilości i jakości środków, z jakich się utrzymują — wydobywa w powieści całą gamę kontrastów, wstrząsających szczególnie nieprzyjemnie międzywojennym czytelnikiem. Uniłowski z nadzwyczaj bezwzględnością jasnością ukazywał na losach rodziny, sąsiadów, kolegów Kamila Kuranta, jak bardzo nieutrwały jest ten świat, a raczej światek, w którym żyją — jak trudno z niego wspiąć się wyżej, jak za to łatwo spaść zupełnie nisko na sam spód drabiny społecznej. Fakty, postacie, zjawiska przestają być w „Dwudziestu latach życia“ stopniowo czymś atrakcyjnym i sensacyjnym, nabierają nieprzyjemnej, ostrzegającej wymowy socjologicznej.

Jest w „Dwudziestu latach życia“ dorosły odpowiednik Kamila Kuranta — jego ojciec, Andrzej Kurant. Ten aferzysta i hochsztapler pojawiający się i znikający w życiu swego syna między kolejnymi odsiadkami kar więziennych — to niekanonizowany przez krytykę, ale niemniej realny „pozytywny“ bohater znacznej części międzywojennej literatury. Putrament przypominał niedawno Sergiusza Piaseckiego, który na emigracji próbując kontynuować literacki kult własny, walczył, przemysłnika, defraudanta — otóż Andrzej Kurant jest bogatszym w człowieczeństwo krewnym „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy“. Uniłowski zdiera jednakże z postaci ojca Kamila romantycz-

na otoczkę — pokazuje, na jak wątłych korzeniach i fundamentach wspiera się „pozytywność“ owego bohatera, jego iluzoryczność jako ewentualnego wzoru postępowania, drogi wyjścia dla syna. Andrzej Kurant przegrywa raz po raz nie tylko materialnie, dostając się do więzienia za różnorakie oszustwa — przegrywa także moralnie pokazując wciąż lichszą podszewkę swojego człowieczeństwa. Jest w takim postawieniu sprawy Andrzeja przez Uniłowskiego jakaś drugocząca ocena istotnego sensu i wartości literackiego awansu przestępcy. I dlatego nie dziwi nas przeczytanie w konspieku drugiego tomu losów Kamila słowo: „katastrofa“...

Ale jest w przypominanej przez PIW powieści Uniłowskiego jeden element, który nie tylko decyduje o wyjątkowości tej książki na tle międzywojennej prozy — przekazuje również o bliskości, wartości „Dwudziestu lat życia“ dla nas, ludzi roku 1956. Elementem tym jest tragizm, bardzo swoicie przełamany w życiu Kamila Kuranta, ale jednak nie dający się inaczej określić. Z każdej strony literackiej biografii chłopca, zatem postaci, która chyba najwięcej ma prawa do optymizmu i uśmiechu pisarza — wieje ku nam smutek, jakieś trudno dające się określić w intelektualnej refleksji zniechęcenie. W uporze, z jakim autor gasi każde marzenie, tęsknotę do lepszego, bardziej ludzkiego życia Kamila — w bezwzględności, z jaką zawraca go z drogi dobrobytu na kamienistą ścieżkę nędzy — tkwi coś więcej, coś innego, niż sugestywny chwyt artystyczny i wierność założeniom koncepcji twórczej. Tutaj właśnie kult faktu przedstawia być zawężeniem pola widzenia, asekuacją dla pisarza — tamie fragmentaryczność, wyłączenie wizji artystycznej, staje się wstrząsającym uogólnieniem społecznym i historycznym, zaczyna brzmieć jak wyrok, ocena, a nie opis swojego czasu. Czytelnik — razem z bohaterem i pisarzem — zaczyna się kształcić i dusić atmosferą, wydzieraną przez karty książki, zaczyna się wewnętrznie buntować przeciwko nieludzkim prawom (bliżej niewiadomym co prawda) skazującym młodego chłopca i jego otoczenie na niemożliwą do przełamania, bo przerażającą każdą sekundą p o w s z e d n i e g o d n i a, ponieważ. Fakty przestają być sensacyjnie poręczającymi, wzbudzającymi przyjemny dreszczyk ciekawości — zaczynają wstrząsać tragizmem, który, zaprawdę, niewiele ma wspólnego z

„katharsis“, za to bardzo wiele — z przynębnieniem...

Cóż może być — jak o tym wspominałem na początku niniejszego szkicu — bliskiego, łączącego nas z dwudziestolecie powieści Uniłowskiego? Odpowiedź narzuca się pozornie natychmiast: przeciwstawienie naszych czasów wizji tamtych czasów, ujęcie roku, 1956 jako wielkiej negacji, antytezy roku 1937, w którym zmarł Uniłowski. Tak, to prawda — i to z gatunku prawd dużego, zasadniczego formatu. Zrozumienie bez różowo sentymentalnej, beczkowskiej mgiełki, ale i bez czarno-białej kratki schematu tego, czym były w rzeczywistości w życiu naszego narodu lata 1918-39 — to wielka potrzeba naszego społeczeństwa, przede wszystkim zaś dzisiejszej młodzieży, której to potrzebie jak dotąd nie sprostała powojenna nauka, publicystyka, literatura. Potraktowanie „Dwudziestu lat życia“ jako wielkiego, technologicznie autentycznym dokumentu tamtych czasów — to na pewno jakaś istotna sprawiedliwość, której niedokończona powieść Uniłowskiego nagłoco się domaga. Ale to nie wszystko...

POWIEDZIAŁEM przedtem, że w literaturze międzywojennej — także i w niedokończonych powieści Uniłowskiego, przejawiają się bardzo specyficzne kult faktu, wynikający z pragnienia zarejestrowania życia, niechęci do jego zrozumienia, interpretacji. Otóż, jeśli powieść dwudziestolecia zanotowaną w losach Kamila Kuranta i treścią naszych obecnych lat może tylko cieszyć — sprzeczność między przetwarzaniem doświadczenia w wizję artystyczną przez Uniłowskiego i współczesnych nam pisarzy może to być i niepokoić i martwić. Nasza literatura współczesna właśnie do tej pory nie umie znaleźć słusznego — ideowo i artystycznie — stosunku do faktu wziętego z życia i służącego jako podstawa wizji pisarskiej. Wiele faktów, czyli wiele tematów nowych, nieruszanych dotąd piórem, dostrzegli polscy pisarze po wojnie, ot, chociażby cały bogaty kompleks zagadnień pracy, związanych z tzw. tematyką produkcyjną. Jednakże, jeśli literackie dwudziestolecie można by nazwać umownie „okresem faktów“ — literatura lat 1944-56 należy bez wątpliwości w swej ogromnej większości do „okresu interpretacji“, interpretacji pomyślnej (a raczej niepomyślnej) artystycznie jako publicystyczny wręt,

gwałtowne, „na siłę“, kierowanie faktów w ideologiczne koryto. Podstawowa umiejętność pisarza, polegająca na ożywieniu kart książki strumieniem życia, które przyciągnie do siebie i pochłonie uwagę czytelnika — została w wielu wypadkach, szczególnie debiutantów, zlekceważona i zapomniana. Pisarze uparli się oddziaływać przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, na intelekt miłośników książek — nie na ich zmysły i uczucia czyli na te władze ludzkiej psychiki, które od wieków są właściwymi przekąźnikami, transmisjami wpływu pisarzy na społeczeństwo.

Otóż swoją komunikatywnością „Dwadzieścia lat życia“ przewyższa niewątpliwie wiele z naszych współczesnych powieści. Tu nie pomoże ani ochrzczenie techniki pisarskiej Uniłowskiego mianem „naturalizmu“, ani zestawienie w eksperymentalorstwie (o słodkie nieporozumienie!) „Dwudziestu lat życia“ z „Ferdynandem“ Gombrowicza. Na stronach utworu Uniłowskiego wciąż są obecne realne fakty i prawdziwi ludzie — pisarz przemawia od siebie nie wstawkami z publicystycznych „wstępniaków“, ale umiejętnie wyzyskującymi sytuacjami i skojarzeniami, jakże często ukazującymi to, co w pobojnych życzeniach współczesnych krytyków literackich zwykło się nazywać „dnem“.

Oczywiście: w poprzednich wywodach próbowałem pokazać, dlaczego pisarska postawa Uniłowskiego, zespół użytych przez niego przesłanek ideowych i środków artystycznych, w całości nie może i nie powinna nas zadowolić. Ale nie jest przecież akceptacją całości wybór nadającej się do zasymilowania przez pisarskie organizmy części rzetelnego dorobku literackiego Uniłowskiego. W tym, że czytelnicy gazet i periodyków kulturalnych wiele chętniej czytają zamieszczone w nich reportaże niż opowiadania i fragmenty powieści leży istotny wskaźnik istotnego głodu odbiorców — głodu faktów. Jeśli nauczymy się od Uniłowskiego, że dobra konstrukcja utworu literackiego nie może i nie powinna utosamiać się z krzywką faktów z komentarzami, ale z emanacją interpretacji z realio — zrozumiemy dobrze, w czym autor „Dwudziestu lat życia“ jest nam bliższy i pomocny właśnie jako pisarz.

<sup>1)</sup> Zbigniew Uniłowski: „Dwadzieścia lat życia“, PIW, Warszawa, 1955 r.

## W imię zdrowego rozsądku

Z ANIM przystąpię do omówienia zagadnienia, które leży mi na sercu, dla lepszego zrozumienia zmuszony jestem podać parę danych z mego życiorysu. A więc mam 39 lat. Wykształcenie średnie. Nie kończyłem, ani nawet nie zacząłem studiów na żadnej akademii malarskiej, nie uczęszczałem do żadnego konserwatorium, nie byłem, nie jestem i nie będę literatem ani poetą. Jestem więc zwykłym zjadaczem chleba, przeciętnym konsumentem kultury i bez zarozumiałości mogę oświadczyć, parafrazując jednego z poetów: „imię moje — miliony”. Moj stan majątkowy, cywilny oraz stosunek do służby wojskowej nie mają żadnego znaczenia ani wpływu na zagadnienie, które za chwilę będę miał zaszczyt poruszyć.

Kupę lat męczyłem się i biłem z myślami nie mogąc tego zagadnienia rozgryźć. Setki osób indagowanych przeze mnie w tej sprawie albo nie umiały mi dać wytłumaczenia, albo tak mądrze i wymyślnie wyjaśniały, że nie nie zrozumiałem. Doszedłem do takiego stanu, że powiedziałem sobie: „Tadziu! Jesteś skończony małol i nic ci już nie pomoże”. Z tym kompleksem niższości żyłem sobie parę lat bardzo nieszczęśliwie. Potem nastąpiła reakcja i to w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do poprzedniego mego kompleksu. Stwierdziłem, że wszyscy są durnie, a tylko ja jeden mądry. Znowu upłynęło parę lat. I to też mi przeszło. Teraz jestem (jeśli wolno mi użyć poetyckiej mowy) „na krawędzi przepaści i zdrowego rozsądku”. Doszedłem do wniosku, że wszystko to, o co mi chodzi, nie jest warte funta kłaków.

Wiedzę już o co chodzi? Nie? No to słuchajcie. Chodzi o sztukę jako taką.

Ludzieeee!!! Kto mi wytłumaczy co to jest w dzisiejszym znaczeniu sztuka? Jeden dowiecinnie powiedział mi, że „sztuka to jest sztuka tumanienia mas w pionie kulturalnym”. Przyjąłem to do wiadomości początkowo, ale potem wyłoniły mi się pewne zastrzeżenia. W szkole, tj. 20 lat temu, wbijano mi w łeb, że „sztuka to twory artystów”. Obserwując jednak dzisiejszą „sztukę” stanowczo odrzucałem twierdzenie, że to „artyści tworzyli”; z drugiej strony nie mogłem bezkrytycznie przyjąć teorii „mojego znajomego o „tumanieniu mas”. A więc jak ta sprawa wygląda? Przypuszczam, że maksyma podana mi w szkole bardziej jest dla mnie przekonująca. Gdy stoję przed obrazem Rembrandta, Tycjana, Chelmońskiego, Matejki czy nawet Styki, to mimo wszystkich patrzę na ich dzieła z szacunkiem. Co tu dużo gadać! To są naprawdę artyści. Żaden przeciętny śmiertelnik nie potrafił tego tak malować, że poza większymi czy mniejszymi wlotami ducha znali swoje rzemiosło. Bo proszę! Stoimy przed obrazem Rembrandta. Widzimy tam postacie ludzkie nie wzbudzające żadnych zastrzeżeń co do ich autentyczności. Widać, że malarz starał się odtworzyć rysy twarzy ludzkiej, jej charakter, uczucia itp. Taki obraz przemawia nawet do dziecka. Stałmy przed obrazem Styki. To jest odtworzenie rzeczywistości. Niektórzy powiadają, że to fotografia. A choćby! Spróbuj to zrobić. Ostatecznie dobra fotografia jest też sztuką.

Stać dla odmiany przed obrazem jakiegoś modernisty. Gdyby te obrazy nie miały pod spodem napisu z podaniem treści, to nikt poza autorem ich nie odgadnie. Czasem i sam autor po wymalowaniu większej ilości swych dzieł nie może po pewnym czasie utoażnić swych twórców. Dla mnie zresztą tytuł takiego obrazu jest bez znaczenia. Tak i tak nie rozumiem, mimo bujnej (nie przechwalać się) wyobraźni. Zresztą wmaśnięcie w nas, że obraz przedstawiający np. oko ludzkie umieszczone poniżej pleców ma wyrażać „miłość do pierwszego wrzenia”, wywołuje odruch protestu. To jest zupełne wulgaryzowanie rzeczywistości. Do bani z taką symboliką!

Wzemyślna przykład dzisiejszą prasę kulturalną. Ile tam różnych rysunków lub szkiców. Ale jakie? Patrzę na nie człowiek wyje wprost z rozpaczy. Zapewniłem wszystkim solennie, że coś takiego, ja, szarak, potrafię dużo lepiej narysować. Jestem skłonny trzymać zakład, że takie dzieła, jakimi częstuje nas prasa kulturalna, mogą oświecić „odrobić” i to bez żadnego natchnienia nawet lewą ręką. Czym więc tłumaczy fakt reprodukowania tych rzeczy przez piśma kulturalne? O co tam chodzi? Nie wiem. Ile płacą za jeden taki rysunek, ale jeżeli dobrze, to rezygnuję z moich zasad i skłonny jestem nawiązać współpracę z jednym z kulturalnych wydawców.

Uważam dopuszczenie do takiej twórczości za krok prowadzący do anarchoi wszelkiej, pojęć o sztuce malarskiej. Jak mam myśleć o twórcach sztuki, które ja sam oświ-

aduję. Jeżeli nawet tak, to dlaczego szerokie masy karmione są owocami niedojrzałych doświadczeń laboratoryjnych? Spekulowanie „półfabrykatami sztuki” jest podrywaniem autorytetu artysty w oczach szerokiej mas odbiorców.

Przyznaję lojalnie, że całe to moje wystąpienie przeprowadzone jest w dosyć napastliwej formie. Proszę mi to jednak darować. Zbyt długo trwa ta cała historia i dlatego straciłem nerwy. Nie mogę o tym pisać spokojnie. Poza tym czuję się obrażony za karmienie mnie pseudo sztuką przez tak długi okres czasu. Nawet świętego diabła wzięliby do moim miejscu.

W imię więc zdrowego rozsądku proszę o udzielenie mi konkretnej odpowiedzi. Kto się tego podejmie? Odpowiedź winna być uczciwa, bez polemizowania na temat tego czy innego zwrotu przeze mnie użytego. W tym zagadnieniu rolę grają nie słowa, ale zasadnicza myśl. Proszę mi odpowiedzieć językiem potocznym, zrozumiałym przez każdego normalnego człowieka, bez wodnistej, obco brzmiącej frazeologii. Kto uczciwie podchodzi dziś do sztuki, ten da mi właściwą i uczciwą odpowiedź. Szerokie masy będą mu za to wdzięczne.

Przejdźmy do innej dziedziny sztuki. Do poezji. Jest mi bardzo przykro, ale od pewnego czasu przestałem w ogóle czytać dzisiejszą poezję. Właściwie to od czasu do czasu coś tam przeczytam, aby się upewnić, że nie się nie zmienia na lepsze i że poezja nasza milowymi krokami goni w piętkę. W moim pojęciu wiersz, który nie ma ani rymu, ani rytmu, ani sensu nie jest po prostu wierszem, tylko zwykłym bredzeniem człowieka pod alkoholem, albo kandydata do szpitala dla nerwowo chorych. Jest zresztą jeszcze trzecia ewentualność. Ktoś ma mnie, zwykłego odbiorcę, gdzieś i na zimo, z wyrachowaniem podziwił byle co licząc na to, że mój snobizm nie pozwoli mi na otwarte wystąpienie w sprawie zblamowania się w oczach szerokiej opinii publicznej. Mam więc osobiście do wszystkich redakcji piśm kulturalnych żal i pretensję o to, że tak mnie lekceważą. Właściwie nie jest to już lekceważenie, ale oczywista obraza szarego czytelnika. Ten czytelnik, mimo że jest szary, ma jednak trochę oleju we ibie i potrafi mimo swojej szarości oddzielić „plewy od ziarna”. Dużo moich znajomych czyta pisma kulturalne. Ale dlaczego czytają? W poszukiwaniu kulturalnych przeżyć? Figa z makiem! Czytają dlatego, bo traktują te pisma na równi z piśmami satyrycznymi jak np. „Szpilki”. Niektóre zresztą wiersze lub rysunki, podawane w tych poważnych i kulturalnych piśmach, mimo całej powagi i patosu są dużo lepsze od niejednych drukowanych w „Szpilekach”. Nie wierzę? Dam przykład. (podaję rysunek z prasy i narysowany przeze mnie). Oglaszam konkurs. Kto zgadnie, które z tych „prac” są dziełem fachowca, a które dziełem laika, tzn. moim?

Podobnie ma się rzecz z muzyką. Opowiadał mi pewien muzyk, jak znany w całym kraju dyrygent, przygotowując na orkiestrę jedną z nowoczesnych kompozycji, nie mógł sobie dać rady z paroma akordami. Początkowo przypuszczał, że nastąpił jakiś błąd przy przepisywaniu nut. Poprosił więc kompozytora o sprawdzenie. Kompozytor sprawdził, stwierdził zgodność z oryginałem i w ogóle był zdziwiony, że akordy te były przedmiotem dyskusji.

Pewnego razu postanowiłem wysłuchać przez radio koncertu muzyki współczesnej wykonanego na fortepianie. Słuchałem, słuchałem nie rozumiejąc. Zrozumiałem tylko technikę. Dla sprawdzenia moich podejrzeń siadłem natychmiast do pianina (mam w domu takowe i nawet gram ze słuchu) i zacząłem oburącz wystukiwać szereg przypadkowych dźwięków, odrzucając zupełnie harmonię, rytm i takt. Obecnym przy tej próbie parę osób stwierdziło zgodność, że gram identycznie jak pianista w radio. Gdybym był zarozumiałym, ogłosiłbym się geniuszem. Nie jestem jednak ani zarozumiałcem ani tym bardziej geniuszem. Zamknąłem tylko pianino wygaszając w duchu parę epitetów, które niestety, nie nadają się do publicznego produkowania.

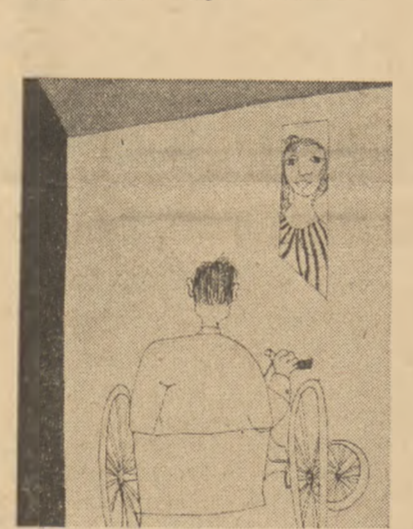
No, dosyć przykładów. Zreasumujmy to wszystko, co napisałem. Pytam więc jasno i otwarcie! Kto mi uczciwie wytłumaczy, co to jest dzisiejsza sztuka? Czy dzisiejsi twórcy potrzebują kończyć wyższe studia na akademickich? Jeżeli tak, to czego tam dzisiaj uczą? Kto potrafi mi wytłumaczyć granicę (o ile taka w ogóle istnieje) między umiędzianymi upoważniającymi do tytułowania się mianem artysty, a umiejętnościami, jakimi dysponują zwyčajni, szarzy ludzie. Czy dzisiejsza sztuka musi być tworzona przez artystów, czy też każdy szarak, bez żadnego przygotowania ma prawo obiegania się o zaszczytny tytuł artysty (dlatego zaszczytny, ponieważ nosił go tacy ludzie, jak Rembrandt, Leonardo da Vinci, Matejko, Chopin, Bach, Grieg i wielu innych)? Czy prymitywizm, jaki obecnie forsowany jest w sztuce, to wynik braku umiejętności rzemiosła artystycznego, czy też zwyrodniałej finezji niektórych specjalistów? Dla kogo jest sztuka dzisiaj „robiona” — czy dla szerokiej mas, które nie dzisiaj nie rozumieją, czy dla małego grona o „wyrobionym” smaku?

Spotkałem się z twierdzeniem, że dzisiejsza sztuka sztuka nowych dróg (a więc i jest, że tak powiem, w stadium laboratoryjnych do-

świadczeń). Jeżeli nawet tak, to dlaczego szerokie masy karmione są owocami niedojrzałych doświadczeń laboratoryjnych? Spekulowanie „półfabrykatami sztuki” jest podrywaniem autorytetu artysty w oczach szerokiej mas odbiorców.

Przyznaję lojalnie, że całe to moje wystąpienie przeprowadzone jest w dosyć napastliwej formie. Proszę mi to jednak darować. Zbyt długo trwa ta cała historia i dlatego straciłem nerwy. Nie mogę o tym pisać spokojnie. Poza tym czuję się obrażony za karmienie mnie pseudo sztuką przez tak długi okres czasu. Nawet świętego diabła wzięliby do moim miejscu.

W imię więc zdrowego rozsądku proszę o udzielenie mi konkretnej odpowiedzi. Kto się tego podejmie? Odpowiedź winna być uczciwa, bez polemizowania na temat tego czy innego zwrotu przeze mnie użytego. W tym zagadnieniu rolę grają nie słowa, ale zasadnicza myśl. Proszę mi odpowiedzieć językiem potocznym, zrozumiałym przez każdego normalnego człowieka, bez wodnistej, obco brzmiącej frazeologii. Kto uczciwie podchodzi dziś do sztuki, ten da mi właściwą i uczciwą odpowiedź. Szerokie masy będą mu za to wdzięczne.



„Oglaszam konkurs. Kto zgadnie, która z tych „prac” jest dziełem fachowca, a która dziełem laika, tzn. moim?”

## Rozsądek nie zaprzecza sztuce

Pytanie jest bardzo zasadnicze: co to jest dzisiejsza sztuka? Odpowiedzią jest sama sztuka. Zmodyfikujmy pytanie. Dlaczego dzisiejsza sztuka, posiada charakter, który wywołuje tak wiele sprzeciwów i nieporozumień? A dalej, dlaczego np. w „Dziś i Jutro” ukazują się rysunki niezrędko wzbudzające protesty czytelników. Dlaczego drukuje się artykuły, w których podkreślane jest wielkie znaczenie nowoczesnego malarstwa.

Sztuka nowoczesna frajtuje. To jest jedyną — być może — dotychczas formą jej naprawdę szerokiego oddziaływania. Drażni, bo jest zagadką; zjawiskiem — dla przeciętnego śmiertelnika — na progu kłpiny i szaleństwa. Odbiorca chce ją przejrzeć, zrozumieć, odczytać.

Przyпускаjąc, że nie ma nic bardziej szkodliwego od filozofii sztuki, od prób tłumaczenia zjawisk artystycznych zawitymi teoriami. Robienie ze sztuki czegoś niezmiernie jest równie fałszywe jak niewłaściwe. Sztuka, wielka sztuka jest rzeczą prostą i ludzką, i tak na nią trzeba patrzeć. Tak, jak nie będziemy prawdziwie nigdy dokładnie wiedzieli, dlaczego jakaś rzecz jest piękna, tak, być może, nigdy nie będziemy przekonani wielkiej tajemnicy oddziaływania sztuki. Wydaje się, że z chwilą gdybyśmy odkryli ten sekret, tę „istotę” tak mierzalnie i mętnie poszukiwaną przez estetyków, sztuka po prostu przestałaby istnieć. W tej sytuacji jedynym rozsądnym wyjściem jest patrzeć na sztukę prościej.

Sztuka nie ma „dzisiejszych”, ani „wczorajskich” znaczeń. Ma zawsze jedno, niezmiennie znaczenie: jest symbolem, destylatem oia-czającego nas rzeczywistości. Rozwój malarstwa do XVII — XVIII wieku jest ciągłym, uporczywym, mozolnym udokonywaniem warstwu, który pozwoliłby na pełniejsze, wierniejsze, plastyczne przedstawienie człowieka i jego otoczenia. Od skrólowego, prymitywnego malarstwa rzymskiego aż do iluzjonizmu Tiepola trwa nieprzerwany ciąg doświadczeń. Wynikiem tych doświadczeń było takie opanowanie warsztatu malarskiego, praw perspektywy, że sztuka z symbolu przeobraziła się w kopię rzeczywistości. Artysty stali się mistrzami podchwastwa. Dystans, który w ubiegłych wiekach dzielił odrępną przez artystę symbol rzeczywistości od rzeczywistości samej, „dystans”, który dawał pokarm wyobraźni odbiorcy, w którym mieścił się ładunek emocji, własnego widzenia świata, decydujący o tym, że dzieło sztuki było czymś bardzo osobistym i odkrywczym — zredukowany został do zera.

Punkt, w którym malarstwo osiąga taką doskonałość techniczną, że nie istnieje dla niego żadne problemy i trudności w dokonywaniu, niemal fotograficznym odtwarzaniu świata, jest początkiem akademizmu. Akademizm to malarstwo, które nie pozostawia marginesu dla wyobraźni. Sztuka żyje dzięki wyrobieniu odbiorcy. Akademizm nie jest sztuką.

W okresie poprzedzającym ten punkt krytyczny, widząc, patrząc na obraz, w naturalny sposób odczytywał z przedstawionego przez artystę symbolu określany przez niego element rzeczywistości. Widz odczytywał symbol jako fragment rzeczywistości. Malarstwo akademickie wykluczało ten moment odczytania. Obraz czytało się płynnie, bo był bardzo podobny i bardzo jednoznaczny. Z poszczególnych słów tego malarskiego słownika budowało się historyjki; prymatem malarstwa stała się anegdota. Jeśli nie pozostawiało się widzowi przyjemności odcyfrowywania i odczytania symbolu — trzeba go było bawić malarską opowieścią. Widz chętnie się na to godził. Taka sztuka wymagała najmniejszego wysiłku.

Malarstwo zaraziło się literaturą, zaczął się kryzys plastyki. Kryzys powstał przez to, że malarz wiedząc wszystko o swoim rzemiosle nie odkrywał świata, nie tworzył wizji świata, nie rozwijał malarstwa. Zaskorupił się w swoim fotograficznym rzemiosle, zręczności. Gdyby sztuka polegała na odtwarzaniu, na bezmyślnym odtwarzaniu rzeczywistości — ten okres byłby jej chlubą. Niestety, sztuka nie jest malowaniem, ale twórczością, i ten okres jest jej hańbą.

Skutki tego etapu w historii są katastrofalne. Malarstwo w opinii przeciętnej odbiorcy zrosło się niezrozumiałe z literaturą. Stało się czymś, co się odczytuje — a nie odczuwa. Widz chciał rozumieć, ale rozumieć opowieść, którą pokazywał malarz na obrazie. Jeżeli jej nie odczytywał, sztuka była dla niego bez sensu. Niestety, sztukę trzeba bardziej czuć, niż rozumieć. To nie są traktaty naukowe — to jest emocja.

Wiek XIX przyniósł pierwsze reakcje na akademickie malarstwo. Punktem kulminacyjnym było wystąpienie impresjonistów. Jakże są ogólne założenia tych reakcji rozciągających się na nasze stulecie? Stworzenie nowego symbolu malarskiego, który byłby odległy od fotografii i bezmyślnego naturalizmu. Okazało się, że malarstwo jako sztuka istniało wtedy, gdy artysta zmoził się nad swoim rzemiosłem, gdy musiał stale ulepszać środki wyrazu, żeby się najlepiej wypowiedzieć. Ulepszenie gwarantowało rozwój. Osiągnięcie biegłości, która pozwalała na stworzenie dostojnej iluzji, oznaczało zaś. Trzeba było pójść w inną stronę. Mając tysiące przykładów wirtuozyzmu rzemiosła — bezosobowego przez swoją fotograficzną dokładność — mając fotografię, która zastępowała malarza w kopiowaniu rzeczywistości — trzeba było świadomie rozbić istniejącą skorupę, oświecić patrzenie, wskrzesić malarstwo. Malarz chciał mieć znów prawo do sugerowania własnej wizji świata.

To jest najogólniejszy schemat malarskich przemian. Zaczął się protest widza. Widz chciał odczytywać, chciał rozumieć to, co malarstwo opowiada. Zabiło w nim plastyczne wrażliwość, nie potrafił czuć malarstwa, domyślał się rzeczywistości w symbolu. Widz

zaczął krzyknąć, kłać, sztydzić. Myślał, że to głupi kawał, nabieranie zdrowo myślącego człowieka. Występował „w imię zdrowego rozsądku”.

W jaki sposób zbliżyć nowy malarski symbol do odbiorcy. Trzeba go nauczyć patrzeć. Trzeba w nim rozwijać wrażliwość. Obawiam się, że ci, którzy mówią, że rozumieją Rembrandta, a nie rozumieją Picassa są w wielkim błędzie. Oni równie nie czują Rembrandta, jak współczesnego malarstwa. Czytają Rembrandta. Widać i rozumieją, że to jest człowiek, że ma taki i taki grymas, że jest prawdziwie odtworzony. Nie patrzą na plastykę — tylko na literacką treść. Imponuje im techniczna biegłość; „czegoż też człowiek nie potrafi”, „to musi być artysta — tak prawdziwie odmalował”. Wielkie nieporozumienie.

Rembrandt jest wielkim malarzem nie przez to, że potrafił odmalować wiernie postać ludzką — gdyby o to chodziło, większy byłby Styka. Rembrandt stworzył własną malarską wizję człowieka. Symbol człowieka — wielki, przekonujący, daleki od kopii. Artysta w portrecie pokazuje przede wszystkim siebie — nie modela. Patrzymy na modela jego oczyma, które przeprowadzają selekcję, uogólniają, określają, myślą. To rzeczywistość odbita w umyśle wnikliwym, skonstruowana na płótnie w myśl wskazań malarskiej logiki. Rzeczywistość piękna, bo pozbawiona cech zbytecznych, skupiona jak w soczewce. Sposób mystyca Picassa jest taki sam, z tym, że Picasso świadomie — znając marwte punkty naturalizmu — ucieka od konwencjonalnego, bezosobowego patrzenia, którego nauczyła każdego fotografia.

Odbiorca traktuje współczesną sztukę jako żart. „Ja też tak potrafię!” i rysuje kulfony, które jego zdaniem są równie piękne. Jest duża różnica między laickimi kulfony a malarstwem. Niestety, żeby ją poznać, trzeba wykształcić w sobie dwie rzeczy: wrażliwość i smak. Nierzadko prymitywnym rysunkiem buduje się swój, może nie świat, ale światek, a kulfony — przyswajadca własnej ignorancji. Zresztą ukochanie prymitywu przez współczesnych malarzy tkwi właśnie w chęci odtworzenia swojej zabitej przez akademizm — wrażliwości plastycznej.

Reprodukujemy w „Dziś i Jutro” rysunki. Wzbudzają one częste protesty. Tymi rysunkami chcemy zwrócić uwagę na to, że plastyka nie jest kopiowaniem rzeczywistości. Chcemy oświecić odbiorcę z czymś, co ma coś wspólnego ze współczesną sztuką: syntetyczną, skrótową, symboliczną. Nie dziwimy się, że nie wszystkim rysunki się podobają. To jest nieuniknione. Przypuszczamy jednak, iż jest w nich na tyle malarskiej poezji, że przy odrobinie wrażliwości potrafią oddziaływać na czytelnika. Czytelniku, nikt z Ciebie nie kpi, nikt nie chce sztydzić. Próbnymy rozszerzyć Twój świat o coś bardzo bogatego i pięknego — o świat współczesnej plastyki.

Jerzy Olkiewicz

JACEK DEBIŃSKI

## O kompetencjach moralnych

W POPRZEDNIM artykule, zamieszczonym w numerze 17 Dziś i Jutro — zajmę się sprawami wzajemnego stosunku w naszym życiu społecznym dwóch typów kompetencji: politycznych i fachowych. Pozostała więc jeszcze do omówienia sprawa bodajże najbardziej delikatnej materii, a mianowicie: znaczenia i roli kompetencji typu moralnego w życiu społecznym. O ile nieporozumienia co do zakresu uprawnień kompetencji typu fachowego i politycznego mogą być wyjaśnione stosunkowo łatwo, o tyle znacznie trudniej wyegzekwować w praktyce postulaty w zakresie kompetencji moralnych. Zdajemy sobie sprawę, że postulaty te nie były respektowane z niezbędnej konsekwencją w dotychczasowej praktyce naszego życia społecznego. Następstwa tego, co skrótowo określamy dziś mianem „kultu jednostki” oraz zwyrodnienie aparatu wymiaru sprawiedliwości — dały się nam szczególnie we znaki. Rozpoczynając więc proces demokratyzacji powinniśmy sobie postawić za cel konsekwentne wcielenie zasad kompetencji moralnych do naszego życia społecznego.

Chyba pozytywne będzie uświadomienie sobie, że ogromne szkody w dziedzinie moralnej wyrządził nam okres wojny i okupacji. Również i zwyrodnienie naszego życia społecznego po wojnie wpłynęło bardzo ujemnie na postawy moralne wielu ludzi. W ostatecznym rachunku więc obiektywny spadek, jaki przypada nam w udziale w momencie rozpoczęcia procesu demokratyzacji, nie jest zbyt wspólny, a procesy odradzania życia społecznego nie będą przebiegały z pewnością ani łatwo, ani prosto.

W minionym okresie niepokojące zjawiska i zwyrodnienia towarzy-

szyły naszemu życiu nie tylko w zakresie spraw politycznych i wymiaru sprawiedliwości, nie tylko w zakresie funkcjonowania naszego aparatu władzy i władz bezpieczeństwa.

Przewyżczenia wymagają nie tylko „dzierzymordostwa” i kacykostwo, bezduśność, biurokracja i łamanie praworządności, ale również — i w nie mniejszym stopniu — najprostszą, najbardziej pospolitą nieuczciwość, która pod najrozmaitszymi postaciami zakorzeniła się w naszym życiu. Mamy już nawet cały arsenał terminów dla określenia najbardziej typowych i masowych przejawów drobnej nieuczciwości o bardzo doniosłych skutkach i niewymieralnej społecznej szkodliwości. Kumterstwo, łapownictwo, brakorobstwo, manka i superaty w handlu, formalizm pokrywający brak najbardziej podstawowego poczucia odpowiedzialności, brak troski o społeczne sprawy i społeczne mienie, wreszcie brak poczucia współodpowiedzialności za procesy i sprawy społeczne, w których uczestniczy wielu obywateli — czynią nasze życie wielokrotnie cięższym i trudniejszym, opóźniają proces poprawy, a jakże często skazują wielu ludzi na udreki, dodatkowe cierpienia i trudności. Brak kompetencji fachowych nie stanowi tu wystarczającego wytłumaczenia. We znaki daje się przede wszystkim brak kompetencji moralnych.

Trzeba przyznać, że okres „dzierzymordostwa” i bezwzględnej komendowania, okres, w którym kryterium oceny człowieka stało się jego bezwzględne, ślepe posłuszeństwo i operatywność w wykonywaniu otrzymanych dyscyplin — bardzo wydatnie wpłynęły na specyficzną selekcję ludzi czynnych, a równocześnie zlikwidował

możliwości kontroli i weryfikacji ich działalności. Przywrócenie funkcjom kontroli i instancjom kontroli — pomyślnym jak najbardziej szeroko, jak najbardziej społecznie — ich właściwej roli pozwoli na ponowne wzmocnienie sił społecznych weryfikujących kompetencje moralne i wychowujących w duchu pełnej, demokratycznej odpowiedzialności. Jest to niewątpliwie jedno z najważniejszych zagadnień demokratyzacji naszego życia, tym trudniejsze do rozwiązania w praktyce, że na straży zasady niekompetencji stoi jeszcze często niejednak kacyk, broniący swej własnej skóry i troskliwie ochraniający swe anty społeczne interesy.

Sądę, że byłoby wielką naiwnością przypuszczenie, że ludzie nieuczciwi ustąpią dobrowolnie lub że będą spokojnie patrzyli na odradzanie się mechanizmów społecznych zagrażających ich pozycjom. Doświadczanie uczy, że jeszcze tak nigdy nie było. Doświadczenie uczy, że ludzie tacy chwytają się najrozmaitszych sposobów dla obrony swych zagrożonych pozycji. Czekaj nas więc ciężka walka. Walka o demokratyzację i humanizację socjalizmu przeciw wszelkim anty społecznym i antysocjalistycznym praktykom i tendencjom, przeciw ludziom nieuczciwym, którzy wyrosli i wypłynęli w niezdrowej atmosferze moralnej.

Wywołani przez wydarzenia ostatnich miesięcy z dusznej atmosfery strachu ludzie zaczynają dziś mówić coraz więcej i coraz głośniej. Po raz pierwszy, od wielu lat ujawnia się i daje znać o sobie siła, o której istnieniu niemal już zapomnieliśmy — opinia publiczna. Karmieni przez wiele lat dietetycznymi, stylizowanymi bardzo starannie papkami i ersatzami, ludzie nie ty-

ko nie stracili zdolności do myślenia, ale wykazują jakąś wielką, rzetelną i uczciwą troskliwość o nasze wspólne społeczne sprawy, o socjalizm, o przyszłość. Poczucie krytycyzmu i zdolność odróżniania dobra od zła, ziaren od plew — nie tylko w społeczeństwie nie zanikły, ale stały się dziś potężną odskocznią dla wielkiego procesu odrodzenia i odnowy. W odżywianiu zdrowej opinii publicznej nie trudno dostrzec najżywniejsze źródło konstruktywnej siły dla dalszego rozwoju socjalizmu. Socjalistyczna opinia publiczna, działająca w warunkach pełnej jawności życia publicznego i respektowania demokratycznych swobód — stanowi najlepszą gwarancję prawdziwości kształtowania się procesów społecznych, a więc również i wcielenia w życie zasad kompetencji. Czula żywa i wszechobecna opinia, połączona z poczuciem wysokiej odpowiedzialności wytworza — niejako automatycznie — kryteria oceny kompetencji wszelkiego rodzaju, kryteria odpowiadające aktualnemu stanowi życia społecznego i obiektywnym możliwościom. Trudne lata, jakie mamy za sobą, nauczyły ludzi realizmu w myśleniu i specyficznego minimalizmu w wymaganiach. Sądę, że ów realistyczny minimalizm mieści w sobie bez reszty zdrowy postulat wyegzekwowania maksimum istniejących możliwości dla budowy przyszłości. Czujna, walcząca, odpowiedzialna i wszechobecna opinia publiczna powinna wspomóc nie tylko w odrodzeniu zasad kompetencji w życiu społecznym, ale również, w oparciu o odrodzenie tych zasad, przywrócić się do odbudowy zachwianych autorytetów społecznych



# ŻYCIE I MYŚL

\* DWUMIESIĘCZNIK \*

O STATNI, obszerny numer „Życia i Myśli” mówi o zagadnieniu pracy w pojęciu chrześcijańskim, o tak boleśnie dręczącym nas problemie miłości, o potrzebie ogólnowiatowej współpracy, o potrzebie niezmierzonych, może nawet w sposób niezamierzony, wskazuje na sedno wszystkich spraw, na najistotniejszy środek sprężyny wielkiej i ciężkiej próbie naszych czasów — na miłość, na taką miłość człowieka do człowieka, która „wielec jest nad wszystkie calopalenia i ofiary”. Ale, omówiwszy pokrótce poszczególne pozycje w ich kolejnym układzie.

W krótkiej rzeczowej rozprawie zmarły przed kilkoma laty O. Jacek Woroniecki wywodzi teologów do zmiany dotychczasowego sposobu nauczania dotychczas chrześcijańskiej w podrozdziałach, a zwłaszcza w katechizmach. Stwierdza bowiem i popiera to przywołani, że Chrystusowe przykazania miłości nie są dostatecznie podkreślone w nauczaniu, wskutek szeregów przesunięć, w układzie prawdy wiary, wysuwającego począwszy od wieków XVI. Dekalog na pierwsze miejsce. Trzeba czynić wszystko, aby duch Ewangelii docierał wszędzie i do wszystkich w formie nie skażonej, aby misterium miłości chrześcijańskiej zakorzeniło się głęboko w świecie i przepolowało życie moralne człowieka.

O pracy w znaczeniu chrześcijańskim mówi dwaj autorzy: André de Bovis i Igino Giordani, przy czym pierwszy rozpatruje sens jej i tworzenie przez nią cywilizacji, drugi zaś mówi o wpływie Kościoła na jej kształtowanie się wczesnej społeczności chrześcijańskiej.

De Bovis precyzuje stanowisko myśli chrześcijańskiej w trzech kwestiach: jej stosunku do materii, wpływu na charakter pracy ludzkiej i wreszcie znaczenia pracy w rozwoju procesu dziejowego. Świat materialny jest dziełem Boga stworzonym dla człowieka, aby w nim żył, aby go przetwarzał, aby zlokalizował w nim przyszość nadprzyrodzoną i doświadczał miłości Boga. Takie znaczenie dają materii dognany stworzenia i wiecienia i one uzasadniają pełną czel i podziwu postawę Kościoła wobec ziemi. Praca ludzka, której warunek jest stopień zaangażowania wolań ludzkiej, kontynuacja dzieła Boga, kształtuje świat, społeczeństwo i człowieka. Chrześcijański sens pracy i cywilizacji jako całokształtu jej różnorodnych osiągnięć we wszystkich jej formach tkwi w tym, że cywilizacja nieludzkich okresów stanowią jak gdyby kamienie milowe na drodze, po której ludzkość zmierza ku swemu ostatecznemu przeznaczeniu, ku wypełnieniu się wszystkich rzeczy w Chrystusie. Taki stanunek do działalności ludzkiej, wymagający od chrześcijanina najgłębszego wyświecenia dla uzyskania ostatecznego celu, stanowi o pełnej wartości jego pracy w każdej epoce i w każdym ustroju społecznym.

Wpływ Kościoła na kształtowanie się stosunku do pracy we wczesnym chrześcijaństwie wyraża się w odrzuceniu wszelkich przesądów pogańskich, krępujących ją i jej wykonawców. Kościół odrzuca zatem, jak to wykazuje Giordani, niewolnictwo jako system pracy, nadaje pełną wartość i godność pracy fizycznej, celem zaś wszelkiej pracy czyni się nie zdobywanie bogactwa, ale zaspokojenie własnych potrzeb i okazanie pomocy potrzebującym. Praca i dobra

ności, które wynikały z faktu weryfikacji w Polsce dwóch różnych światopoglądów.

Za jedną właściwą platformą dla rozwiązywania problemu wychowania autor uważa Front Narodowy, jako instytucję obejmującą całość elementów składających się na dziedzinę wychowania, zaś za wyraz organizacyjny kompleksowego działania — centralny ośrodek dyspozycyjny, Nową Komisję Edukacji Narodowej.

Rozważania Wandy Zuromskiej na marginesie międzynarodowego zjazdu katolików i chrześcijan w Warszawie porządkują różnorodnie i głęboko wrażeń z tej pierwszej bezpośredniej dyskusji pomiędzy przedstawicielami chrześcijańskiego światopoglądu ze Wschodu i Zachodu. Dyskusja ta wykazała przede wszystkim, że świat katolicki nie może trwać nadal w rozdzieleniu na dwa obozy nie kontaktujące się ze sobą, nie uznające się wzajemnie za pełnowartościowych członków Kościoła, fałszywie lub niedostatecznie wzajemnie informowane. Różne są płaszczyzny i warunki zetknięcia się katolicyzmu z marksizmem na Wschodzie i na Zachodzie, ale i tu i tam dowodzi, że katolicyzm nie jest związany z żadnym ustrojem społeczno-gospodarczym i politycznym, że stanowi — jak to stwierdza jeden z francuskich uczestników zjazdu, Robert Lalouette — „najwyższe wyzolenie od wszelkich powiązań, jakim moglibyśmy podlegać, zarówno społecznych, jak i osobistych”.

Reakcją katolików na wzmagający się kryzys świadomości chrześcijańskiej i postępującej ateizacji powinno być pogłębienie jedności świata katolickiego, która ujawniła się w czasie dyskusji mimo wszelkich różnic społecznych i politycznych, dzielących jej uczestników. Pogłębienie tej jedności może nastąpić tylko w warunkach wspólnej pracy nad wydobyciem i kultuowaniem wartości duchowych w różnych ustrojach społecznych. Toteż wyraźnym postulatem dyskusji stało się powszechne żądanie kontynuacji takich kontaktów, jak ostatnie spotkanie warszawskie.

Numer zawiera również wybór kilku-nastu mało znanych w Polsce prac Pięcasza z wcześniejszego okresu jego twórczości, przed wprowadzeniem do niej kubizmu i na pograniczu tego okresu. Podeszła do późniejszą twórczość Pięcasza stała się przez kubistyczną deformację nieczytelna dla szerszego ogółu, to reprodukcje prac malarza zachęcające każdego swoim mistrzostwem. Zdziwiała jest różnorodność technik i środków malarskich tego wielkiego artysty, który — jak o tym mówi szkic biograficzny, uzupełniający wybór prac — trwa w poszukiwaniu nowego sposobu wypowiedzenia się.

Zakończenie omawianego numeru stanowi polemika zapoczątkowana przez prof. Skwarczyńskiego w „Życiu i Myśli” nr 4, 1955, w której tym razem, po prof. dr S. Zolkiewskim (nr 5/6, 1955), zabiera głos prof. dr K. Wyka, sprzeciwiając się postawieniu sprawy „Słownika rodzajów literackich” przez prof. Skwarczyńskiego. Zamieszczona jest także odpowiedź prof. Skwarczyńskiego.

Numer jest do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu” i sklepach „Veritasu”.  
Zofia Płońska

# Prawo miłości

(dokończenie ze str. 1)

ten dowód miłości. Kto tak mówi, nie wie zupełnie, na czym polega miłość. Prawda, że według św. Augustyna postulatem jest charakterystyczną cnotą stworzenia. Znaczy to jednak, że stworzenie ma tak kochać Boga, iżby z radością przyjmowało swą zależność od Niego. Nie znaczy zaś, że mamy ograniczać się tylko do posłuszeństwa przykazaniom i uważać je za czyny, a bardziej obowiązujące od innych. Można tu przypomnieć słowa św. Hieronima: „nie uważajcie się za świętych, bo wam samym sobie nie jesteście”. „tak, ale jest on śmiertelny dla mego serca”. W słowach tych nie ma przesady. Świadczą one tylko, że dusza kochająca nie chce obracać się w przyjemnej sferze, gdzie mają sens takie rozróżnienia.

Zawsze były w Kościele, z grubszą biorąc, dwie kategorie wiernych. Najpierw ci, którzy gdyby żyli w innych czasach i w innym środowisku, byłiby wyznawcami innej religii i nie odczuwaliby potrzeby wyjścia poza nią; religia ta wspierała ich w życiu moralnym i zupełnie by im wystarczała. Wierni tego rodzaju szukają w religii zaspokojenia uczuć religijnych, tkwiących w każdym człowieku, szukają w wydobyciu i kultuowaniu wartości duchowych w różnych ustrojach społecznych. Toteż wyraźnym postulatem dyskusji stało się powszechne żądanie kontynuacji takich kontaktów, jak ostatnie spotkanie warszawskie.

Numer zawiera również wybór kilku-nastu mało znanych w Polsce prac Pięcasza z wcześniejszego okresu jego twórczości, przed wprowadzeniem do niej kubizmu i na pograniczu tego okresu. Podeszła do późniejszą twórczość Pięcasza stała się przez kubistyczną deformację nieczytelna dla szerszego ogółu, to reprodukcje prac malarza zachęcające każdego swoim mistrzostwem. Zdziwiała jest różnorodność technik i środków malarskich tego wielkiego artysty, który — jak o tym mówi szkic biograficzny, uzupełniający wybór prac — trwa w poszukiwaniu nowego sposobu wypowiedzenia się.

zna na nich opierać się tak, jak samolot wspiera się na powietrzu: traktując je jako warunek lotu, nowego w każdym punkcie.

ów podział chrześcijan w Kościele na dwie kategorie przyjął się już od dawna. Granica między tymi kategoriami jest jednak płynna, i tak być powinno — nie należy dopuścić do tego, by ona się ustaliła. Św. Augustyn mówi o majori i minoris. Klemens i Orygenes przeczuwali podobne rozróżnienie, chociaż że je wyrażali, w terminach nie do przyjęcia: ich zdaniem — przynajmniej tak tłumaczy ich niektórzy historycy — różnica ta by wynikała ze stopnia świadomości, zatem byłaby kwestią inteligencji; na to zaś nie można się zgodzić. Nie wynika też ona ze stanowiska zajmowanego w Kościele, z tego, czy ktoś jest duchownym czy świeckim. Duchownym powinien oczywiście dążyć do doskonałości. Czy jednak nie mówi się w związku z tym, że jeśli dochodzą do siebie swych ślubów, to wykazuje tym samym pragnienie doskonałości, wystarczające dla stanu, jaki sobie obrał? Pewnie, od strony formalnej nie można zażądać takimi stanowiskami: nie potrzebujemy go też bynajmniej; stojąc jednak na nim, nie znajdujemy się dostatecznie wysoko, by móc mówić o istocie chrześcijaństwa. A mimo to wielu ludzi, którzy mają wyuczucie norm prawdziwych i je spełniają, wydaje się, wskutek nieporadności języka, że trzymają się tylko obowiązkowych norm zewnętrznych. Są o tym jak najszersze przekonania. Powiemy zatem, że elitę chrześcijaństwa tworzą ci wierni — i tylko ci — którzy w głębi swych serc pojęli, na czym polega ów nowy ferment, jakim miłość wnosi do życia.

Z tego punktu widzenia życie wewnętrzne nabiera nowego charakteru. Każdy z nas musi teraz widzieć w swym życiu jedynie momenty negatywne. W oczach innych mogą w nim być momenty pozytywne, jak chociażby spełnione obowiązki z dodatkami jeszcze wszystkich uczynków „nadobowiązkowych”. Oceniając je jednak w sobie widzimy tylko, jak bardzo odległe jest to, co chcielibyśmy dać, od tego, co w istocie dajemy. Tam, gdzie trzeba dać wszystko, zawsze będzie czego brakować, póki nie osiągniemy upragnionego kresu. Na nie się tu zda mówić o postępie w miłości. Na próżno będziemy twierdzić, że wszak zbliżamy się do tego kresu. Chcąc go osiągnąć, trzeba by dać wszystko od razu, a wiemy

przecież, że tak nie jest. Nie możemy tu jakiejś budowli, którą można by budować częścią po części: mamy tu uczynić dar z siebie, mamy siebie przekazać — a któż zdoła to zrobić?

Nie wystarczy jednak mówić o momentach negatywnych. Określenie to bowiem oznacza tylko zwykły brak czegoś. Otóż tu jest nie tylko brak: tu jest odmowa i zepsucie. Kto kocha w sobie to, co nie jest w nim miłością, kocha tym samym swój egoizm, pożądanie i grzech. Zanim zło się uwewnętrzni, zanim wyrazi się jako nieposłuszeństwo, jest ono najpierw grzechem wewnętrznym. Św. Ignacy w jednym ze swych powieści, które teologowie skłonni są uważać za pobożną przesadę, a które zawierają więcej prawdy niż niejedna z ich szkolnych tez — upomina grzesznika, by zważywszy swe grzechy, uważał się „quasi ulcus et apostema unde pullularunt tot peccata”. Oto źródło zepsucia, prawdziwa natura zła. Wypływa ono ze zgangrenowania woli. Takie pojęcie o grzechu miało też św. Augustyn. Jansemici i anty-jansemici mogą tu sobie toczyć zawile dysputy na temat, czy pożądanie jest grzechem i przyczyną zła, czy nie. Wskazywać na grzech, czy pożądanie jest grzechem, i przyczyną zła, to nie jest ich problem. Wspólny jest im bowiem pogląd, że grzech jest aktem, który pociąga za sobą karę. Dla św. Augustyna zaś, jest on czymś, co winno się w naszej duszy unicestwić, by mogła się ona całkowicie połączyć z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i potrzeby ascezy. Wsklepek osobisty jest nieodzwrotny, ale skuteczny jest tylko o tyle, o ile wola została już oczyszczona. W przeciwnym razie jedno zło można poprawić tylko innym złem. Św. Jan od Krzyża wskazał na to zasadniczą prawdę, że każde prawdziwe oczyszczenie jest bierność i że bierność ta się wymaga w miarę, jak coraz głębsze pokłady duszy poddają się oczyszczeniu: noc zmieszania z Bogiem. Będąc u podstaw naszej działalności, zło nie daje się usunąć poprzez tę działalność. Na próżno więc ktoś chciałby poprawić się sam: najpierw musi przódzić o oczyszczenie. To oczywiście nie neguje wartości i

# ARCHITEKTURA KOŚCIELNA

NIE znaleźliśmy jeszcze nazwy dla naszych nowych kościołów. Ale prawdę mówiąc, w ile wieków później zaczęto kościoły dawnych epok nazywać romańskimi, gotyckimi, barokowymi? Gdy powstawały — były po prostu kościołami nowoczesnymi. I być może, styl ich niezbyt zdecydowanie ujawniał się oczom współczesnych? Być może sama nowoczesność zaprzeczała prawu do pełnienia funkcji religijnych?

Styl kościoła określały najpierw potrzeby duchowe. To one wianie z kościoła romańskiego uczyniły konstrukcję mocną, przywarła do ziemi, lecz zdolną zawrzeć w sobie całą tajemnicę ziemi i nieba. To one kawały kościołowi gotyckiemu wyrażać niesprecyzowany zresztą nigdzie program architektoniczny — zdobywać wysokość, światło, przestrzeń i podporządkować w ten sposób materię nieznanemu dotąd porządkowi ducha.

Podobnie kościół barokowy wśród umiarkowanych konstrukcji epoki klasycznej rozwija liryzm, który jest jego cechą własną.

Czy nasze nowoczesne kościoły ujawniają styl swojej epoki? Czy mają jakąś szczególną cechę, którą można by porównać z tajemniczością kościoła romańskiego, ze szlachetnym i czystym rozmachem kościoła gotyckiego i pewnego rodzaju mistyczną radością kościoła barokowego? Jaka jest ich religijna wymowa?

KOŚCIOŁY XX wieku przez długi czas były jedynie kompromisem między wymogami techniki, polityki i założeń religijnych naszych czasów a wspomnieniami przeszłości. Dopiero od 1930 r. — chociaż kościół Perreta pochodzi z

nych na fasadzie, przyciągający i dyskretny wygląd przedsonka, witraż rzucający blask na ulicę lub mały krzyż, który górując nad kościołem pozwala na jego natychmiastowe rozpoznanie. Towarzyszy mu zresztą zawsze wysoka wieża przyciągająca uwagę wszystkich. Dzwonnica usiłuje dziś oderwać się od kościelnej budynku i jego horyzontalnej masie przeciwstawia swą pionową smukłość.

Kiedy wchodzi się do nowoczesnego kościoła, wrażenie nieco surowego czystości i spokoju jeszcze się wzmaga. Dążenie do prostoty, które kierowało konstrukcją potwierdza się i wewnątrz. Nadzwyczajna troskliwość cełuje, a w każdym razie powinna cechować, wykonanie detali i układ przestrzeni i światła. Ważne są proporcje między szerokością i wysokością, a bardziej jeszcze między nawą i chórem, między ołtarzem i tym wszystkim, co go otacza i określa duchowy klimat kościoła. Na ogół chór, a przede wszystkim ołtarz jest bardziej oświetlony, dzięki czemu zyskuje zupełnie nowe, zasadnicze miejsce w kościele.

W DZISIEJSZYCH miastach, tak jak i w miastach przeszłości, kościół pozostaje centrum życia duchowego, a dokładniej mówiąc domem tego, co wieczne. Życiu duchowemu służą wprawdzie także szkoły, biblioteki, muzea i sale kinowe. Lecz w dziedzinie tego, co ponadczasowe, kościół pozostaje samotny, jest jedynym budynkiem wzniesionym ku czci Boga i jedynym, który mówi ludziom o ich nadprzyrodzonym przeznaczeniu.

Wszystkie tradycje, które wyrażają istotny sens życia ludzkiego, znajdują w kościele swoje oparcie. Podobnie jak zasadnicze momenty

pomina założenia sal widowiskowych, podkreśla to jedynie wolę wiernych zjednoczenia się z liturgicznym aktem. W nim i przez niego ma dokonywać się jedność wieżących, a nawet równość, gdyż duchowni, zajmując miejsce wyznaczone przez rytuał, nie tworzą już jak dawniej małego, uprzywilejowanego kościoła w kościele.

JASNOŚĆ staje się zasadą. Nawa może wydłużać się w polmroku, ale chór prawie zawsze rozświetla się pełnym blaskiem. Budowa kościoła sklepienia lub całych ścian ze szkła pozwala na pełne wkroczenie światła do wnętrza. Samo szkło jest często witrażem — czasem może to być szkło białe, nieraz przezroczyste, poprzez które zagłada otaczająca roślinność. Zdarza się, że ściana zamykająca chór rozciąga się za ołtarzem w postaci wielkiej białej przestrzeni skapaną w świetle, dzięki specjalnemu układowi okien. Kościoły te doskonale odpowiadają określonym założeniom liturgii i wspólnoty. Wydaje się, że na użytek wiernych chce się odnaleźć istotne oblicze religii, że pragnie się wydobyc wszystko to, co jest zasadnicze, a odrzucić narosłe w ciągu wieków momenty nieważne lub uboczne. Sprawą zasadniczą staje się więc człowiek z Bogiem. Msza św jest aktem *par excellence* religijnym i każdy jest wezwany, aby brać w niej udział. Wspólnota chrześcijańska, a wraz z nią braterstwo ludzkości skupia się wokół ołtarza, forma kościoła natomiast zapewnia każdemu żywą świadomość tego faktu.

Kościół jednakże, jak już wspominaliśmy, odpowiadając pewnym określonym potrzebom wiernych, musi być równocześnie do przyjęcia dla wszystkich mieszkańców

Kościół nie jest tylko budynkiem o określonym przeznaczeniu funkcjonalnym. Gdy otrzyma uświęcające pomazanie — staje się symbolem Chrystusa. Przekracza wszelkie cele użytkowe, a architekt, który buduje go i urządza usiłując odpowiedzieć na wszystkie wymagania dotyczące kultu, może ustąpić także wobec pewnych nakazów innego rodzaju. Jak każde dzieło sztuki kościelnej, kościół jest przede wszystkim miejscem chwały Boga i Jego adoracji. Jeśli jednak popatrzy się na kościół od strony jego użytkownika, powinien on, odpowiadając określonym wymaganiom założeniom liturgicznym, być równocześnie domem gościnnym otwartym dla wszystkich — domem milczenia, domem, który nigdy nie bywa pusty.

NIE tylko architekt jest odpowiedzialny za osiągnięcie tych celów, lecz także mistrz rzeźbiarz i każdy artysta. Dlatego kościół, niezależnie od swych rozmiarów, pozostaje zawsze dziełem zbiorowym i monumentalnym. I jest rzeczą ciekawą, że tłumy turystów, którzy od stu pięćdziesięciu lat zwiędali jedynie dawne budynki, rozpoczęły zwiędzać współczesne budowle właśnie od chwili, gdy zaczęto budować nowe kościoły.

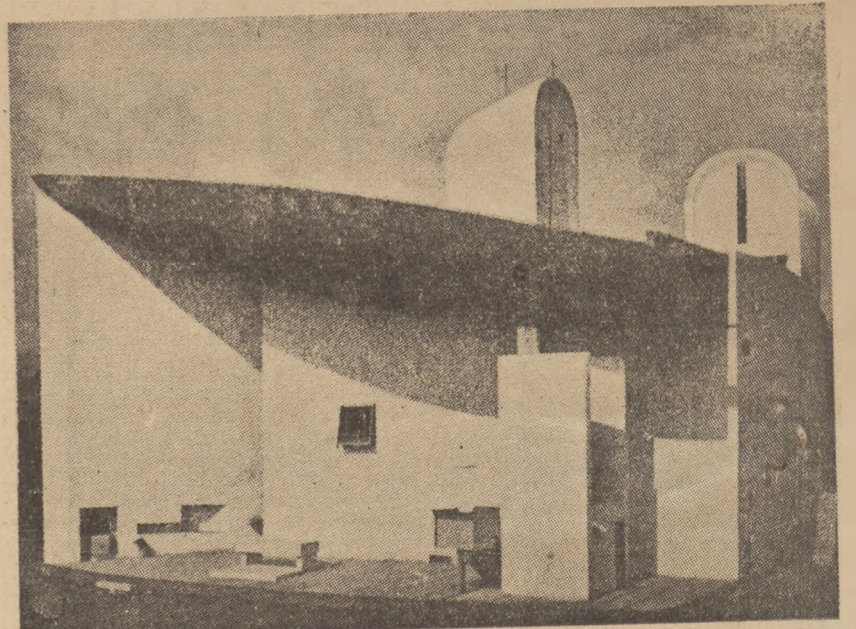
Kościół nowoczesny nie są zatłoczone figurami i malowidłami o wątpliwej wartości, tak jak kościoły wieków poprzednich. Ani malarz, ani rzeźbiarz na tym nie traci. Pierwszemu powierzy się wielkie przestrzenie szkła mające wydobyc świetlany klimat kościoła, czasem także niektóre części fasady. Od drugiego, oprócz planu fasady i kilku rzeźb wewnątrz kościoła, będzie się wymagało określenia pewnych monumentalnych form plastycznych, takich jak dzwonnica lub nieraz, w ścisłej łączności z architektem, form całego kościoła. W ten sposób ta geometryczna surowość, którą można oskarżać o pewną oschłość, ulegnie złagodzeniu, a być może, ustąpi nawet formom niezwykle delikatnym i żywym.

Rozstrzygającym przykładem jest tutaj kościół wybudowany przez Corbusiera w Ronchamp. Czyż Corbusier jest architektem, który może kiedykolwiek zapomnieć o nakazach architektury? Jest on także malarzem i rzeźbiarzem i można by powiedzieć, że w kościele tym wyzwoił w sobie plastyka, który zbyt często był krepowany. Droga jest więc otwarta i kto może wiedzieć, dokąd zaprowadzi?

Trzeba uznać, że w kościele wybudowanym przez Corbusiera została osiągnięta zgodność określonych założeń liturgicznych z bardziej ogólną atmosferą wyrazu religijnego. Abstrakcyjna dekoracja doskonale idzie w parze z kilkoma zwykłymi obrazami religijnymi, które — choć namalowane przez Corbusiera — chciałoby się nazwać naiwnymi.

W Ronchamp mamy więc do czynienia z próbą syntezy, która może nasunąć kilka refleksji. Nigdy nie wątpliśmy, że poddanie się założeniom liturgicznym nie może być sprzeczne z bogactwem klimatu religijnego. Jeśli to pytanie zostało rozwiązane, to dlatego, że niedoskonałe i zbyt dosłowne realizacje zmusiły do jego postawienia. Tak samo musiała być znaleziona zgodność między dekoracją abstrakcyjną a obrazami figuralnymi.

ZBYT sekciarska debata, jaka zdieli dziś malarzy abstrakcyjnych od realistów, nie pozostaje w istocie rzeczy bez wpływu na sztukę religijną. Jest zresztą ciekawe, że ten sam Kościół, który z trudnością godził się na wprowadzenie kubizmu do swych dekoracji, czy do kompozycji witraży, gdzie przyjął pewną średniowieczną tradycję, ten sam Kościół, który odrzucił ekspresjonizm Rouaulta, w kilka lat potem stworzył swe podwoje dla sztuki abstrakcyjnej. Twórcy witraży i rzeźb abstrakcyjnych otrzymują dziś poważne zamówienia.



Kaplica w Ronchamp wg projektu Le Corbusiera

Abstrakcyjna dekoracja o charakterze wybitnie monumentalnym tylko wtedy jednak będzie miała pełną wartość, jeśli — tak, jak to czyni muzyka Bacha — ujawni bogactwo w pewnym sensie kosmiczne, jeśli dla nam równowartość plastyczną jakichś głębokich praw życia. Z chwilą gdy staje się ona tylko techniką — traci wszelkie znaczenie. Witraż jest wtedy tylko szkłem podłego gatunku, rzeźba — fałszywym przedmiotem, na który nie chce się patrzeć, malarstwo zaś — jedynie pustką i chaosem.

Taka sztuka nie przyniesie nie więcej kościołowi, niż wotywy Saint Sulpice, które pragnie się zastąpić. Lepiej już utrzymać ściany białe lub przybrać je jakimś jednolitymi, rozległymi i barwnymi, co jest bardziej skromną i bardziej dostępną formą sztuki abstrakcyjnej. Wkład prostoty i prawdy, który jest wkładem nowoczesnej architektury religijnej, nie może być unicestwiony przez dekorację równie pustą jak pretensjonalną, wyprutą z wszelkiego znaczenia.

JESLI chodzi o obraz figuralny, byłoby bardzo źle, gdyby w Chrystusowym kościele nie mógł on już znaleźć miejsca. Czy religia chrześcijańska, religia Boga Wcielonego, której cała doktryna, liturgia, uczuciowość rozwinęły się wokół pewnego Istnienia przeżytego przez ludzi na ich oczach, która przyniosła cały szereg faktów rzeczywistych, choć równocześnie symbolicznych i reprezentatywnych dla całego życia ludzkiego, a ponadto wybitnie plastycznych — mogłaby się obyć bez konkretnych, bezpośrednich przedstawień w sztuce?

W przyjęciu, jakie środowiska chrześcijańskie zgótowały sztuce abstrakcyjnej w daleko większym stopniu, niestety, zaważyła tutaj obawa przed realistycznym sposobem przedstawiania niż przemysłowa pochwała abstrakcji. W rzeczywistości wszystko, co odbiega od tradycyjnych wyobrażeń, wszystko, co nie przypomina w jakiś sposób pobożnego akademizmu ostatniego wieku, jest podejrzane. I chociaż współcześni malarze nie uprawiają już tej wyrodniałej tradycji, jaką ujawniali malarze XIX i początków XX wieku, zostali odsunęci od dekoracji kościołów. A przecież realia są licznie reprezentowane wśród młodych malarzy. Przedstawiają to, co widzą — i nie poza tym. Prócz tego wolą raczej tematy przeciętne niż rzeczy wielkie o wyglądzie pełnym chwały, w których doszukują się bez wątpienia fałsu. Utrwalając najczystsze gesty człowieka, najczelniej robotnika, przedstawiają jego pracę, rozrywki, jego kruche i poważne uczucia. Ich paleta jest czarna i zielonkawa. Kilka białych

akcentów rozjaśnia te zmęczone pejzaże, a konstrukcje twarde i kanciaste; niemal wszystko w ich dziełach nabiera charakteru symbolu. Scena uliczna będzie tłem obrazu religijnego. A czy te patetyczne wyobrażenia Chrystusa, jakie ściągają na siebie tyle zarzutów — nie zawierają w sobie najgłębszych z ich przeżyć i najlepszych z ich pragnień? Tematy religijne nie są dla nich ucieczką do świata wyzwolonego od obowiązków doczesnych, lecz przeciwnie ujawniają oni swą postawę pełną pasji i litości wobec problemów i nędzy życia.

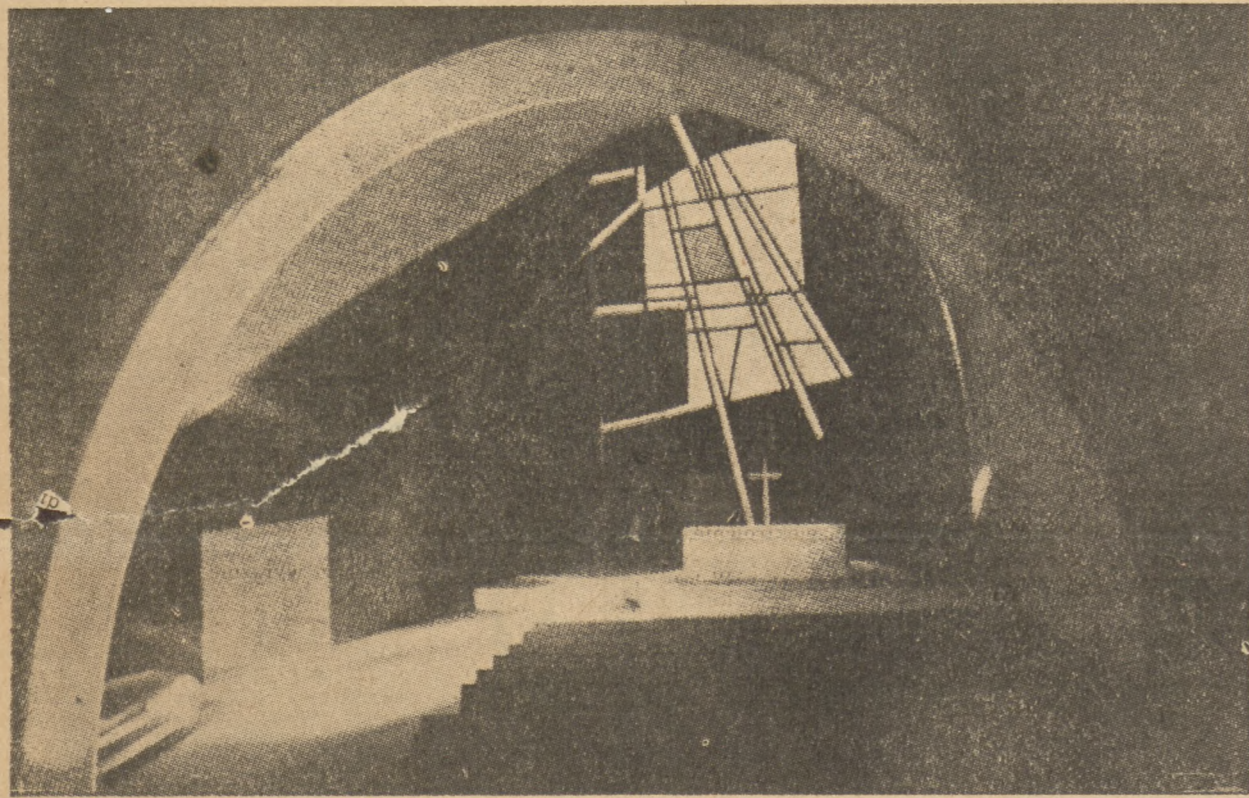
Obecności tych malarzy *à la longue* będzie Kościółowi brakowało, tak jak brakowało mu malarstwa Rouaulta, tak jak brakowało mu malarzy tzw. naiwnych, których świeżość wyrazu i uczucia nabiera z łatwością wartości religijnych. Czy nie ma dla tych malarzy jasność skromnego miejsca, chociażby tak dużego jak wielkość obrazu, który jest ich sposobem wypowiedzi, zawieszzonego w nawie, kaplicy, w rogu chóru? Nie wierzymy zwłaszcza, że tego potrzebnego akcentu uczuciowego należy szukać w mniej lub bardziej szczęśliwym nawrocie do stylu romańskiego czy malarstwa XV wieku. Nasza epoka stwarza własne religijne obrazy i one właśnie, a nie inne powinny się znajdować w nowoczesnym kościele.

Jak widzimy, czas, który nazywa się okresem zewięcczenia, bardziej może nawet niż inne okresy, zwrócony jest ku poszukiwaniom świętości. Bez wątpienia wielu artystów błąka się jeszcze w ciemnościach poszukując drogi, która do tego celu wiedzie. Ale gwałtowność ich pragnień ujawnia się w dziełach pełnych mocy, czego najlepszym dowodem są nowe kościoły. Sztuka chrześcijańska nabrała życia. Jakie będzie jej miejsce w nowoczesnej sztuce, której — co prawda — nie stworzyła, ale do której wniosła znaczny wkład? Problem ten należy poddać pod dyskusję, niemniej sztuka ta wzrusza, a nawet pasjonuje. Niektóre wypowiedzi tego dowodzą.

Wydaje się zresztą, że wszystkie drogi są dla niej otwarte; droga architektury o formach zwartych i surowych, droga architektury o formach mniej skrepowanych, droga sztuki abstrakcyjnej i realizmu różnych typów. A każda droga ma swoje znaczenie i swoją symbolikę. Wielkość sztuki nigdy nie jest niezależna od życia i od niego w ostatecznym rachunku trzeba oczekiwać kreacji, które streszczają i glorifikują epokę.

Tłumaczyła: I. Kopeć

\*) Józef Pichard, krytyk katolicki, wydawca i naczelny redaktor czasopisma „Art Chrétien”, jest jednym z największych znawców nowoczesnej sztuki kościelnej we Francji.



Kaplica wg projektu André Bloc

1922 r. — zaczęto wyzwalać się od wszelkich naleciałości dawnych stylów, poszukiwać samodzielną rozwizań w budownictwie kościelnym.

Porzucono nawet plan krzyżowy. Formy się upraszczają i oczyszczają. Wypróbowuje się wszystkie możliwości. Nowe kościoły mają kształt kwadratu, koła, prostokąta, elipsy, trapezu. Są budowane z kamienia, betonu, ze szkła, drzewa i metalu. W tych wszystkich poszukiwaniach jest więcej jedności, niż by się mogło wydawać. Tak jak w budownictwie mieszkaniowym, formuje się tu chyba określony styl. Nowoczesne kościoły, niezależnie od tego, jaką figurą geometryczną posługiwali się architekci, jest prostą przestrzenią zamkniętą kilkoma ścianami. Formy stają się bardziej czyste i proporcji kościelnego budynku nie zakłócają na przykład, jak to się jeszcze czasem zdarza, różne przybudówki mieszczące biura, lokale mieszkalne czy zakrystie.

Charakter religijny nie wiąże się z wielkością bryły, kościół nowoczesny nie będzie więc dominował nad otaczającymi go budynkami. W miarę możliwości będzie się usiłowało go izolować i zapewnić mu sąsiedztwo drzew. Efekt, jaki daje masa, został porzucony dla poszukiwania idących w kierunku doskonałości proporcji. Chciałoby się jedynie, aby poszukiwania te stały się bardziej szczęśliwe.

Niektórzy dziwią się widząc pewne pokrewieństwa współczesnych kościołów z innymi budowlami, takimi jak hale targowe, dworce czy magazyny. Nie sądzą, by szokowało ich kiedykolwiek podobieństwo kościoła gotyckiego do hal, czy też ratusza z tej samej epoki. Można by myśleć, że odrzucają oni cały krajoznawczy i zapamiętany obraz — ale nowoczesne miasto istnieje i kościół nowoczesny istnieje także, na tej samej zasadzie, co szkoła, szpital czy stadion.

Różnice, jakie dzielą nowoczesny kościół od wszelkich innych współczesnych budowli, są zresztą wystarzająco wyraźne. Jeśli są mniejsze, niż w innych epokach, to przecież ta deskrekcja w różnicach architektonicznych czy wystroju jest także cechą naszych czasów. Nikt jednak tutaj nie popełnia omyłki! Wystarczy kilka znaków wypisa-

naszej egzystencji, chwila narodzin i chwila śmierci, gdy dotykamy tajemnicy, gdy znane roztopia się w tym, co nieznanne — w nim i tylko w nim znajdują swe uzasadnienie.

NA przestrzeni wieków zewnętrzne przejawy kultu chrześcijańskiego mogły być różnie pojmowane. W Kościele katolickim zawsze skupiały się one wokół Mszy świętej. Działalność liturgiczna decyduje o całym wyposażeniu budynku, który nie jest ani salą koncertową, ani konferencyjną, lecz miejscem, gdzie dokonuje się pewien akt.

Z większą niż dotychczas logiką w kościele nowoczesnym wszystko zostaje podporządkowane liturgii. Skoro Msza św. jest w istocie głównym aktem liturgicznym, a celem kościoła jest wydobycie jej pełnego, osiagalnego blasku, należy ołtarz i ławki dla wiernych umieścić w ten sposób, aby wszyscy wzięli udział w Mszy św. i mogli brać w niej udział. Tak więc ołtarz opuszcza swolna ścianę zamykającą, gdzie z daleka jedynie ukazywał się wiernym — i zbliża się do naw. A nawet, jest to założeniem kościołów okrągłych, grupuje się wiernych dookoła ołtarza.

Oczekuje się także, że za pomocą tych samych środków zgromadzenie wiernych zostanie przeniknięte duchem wspólnoty, że liturgia umocni tego ducha i w ten sposób stworzy się uświęcone podstawy dla społecznej misji kościoła.

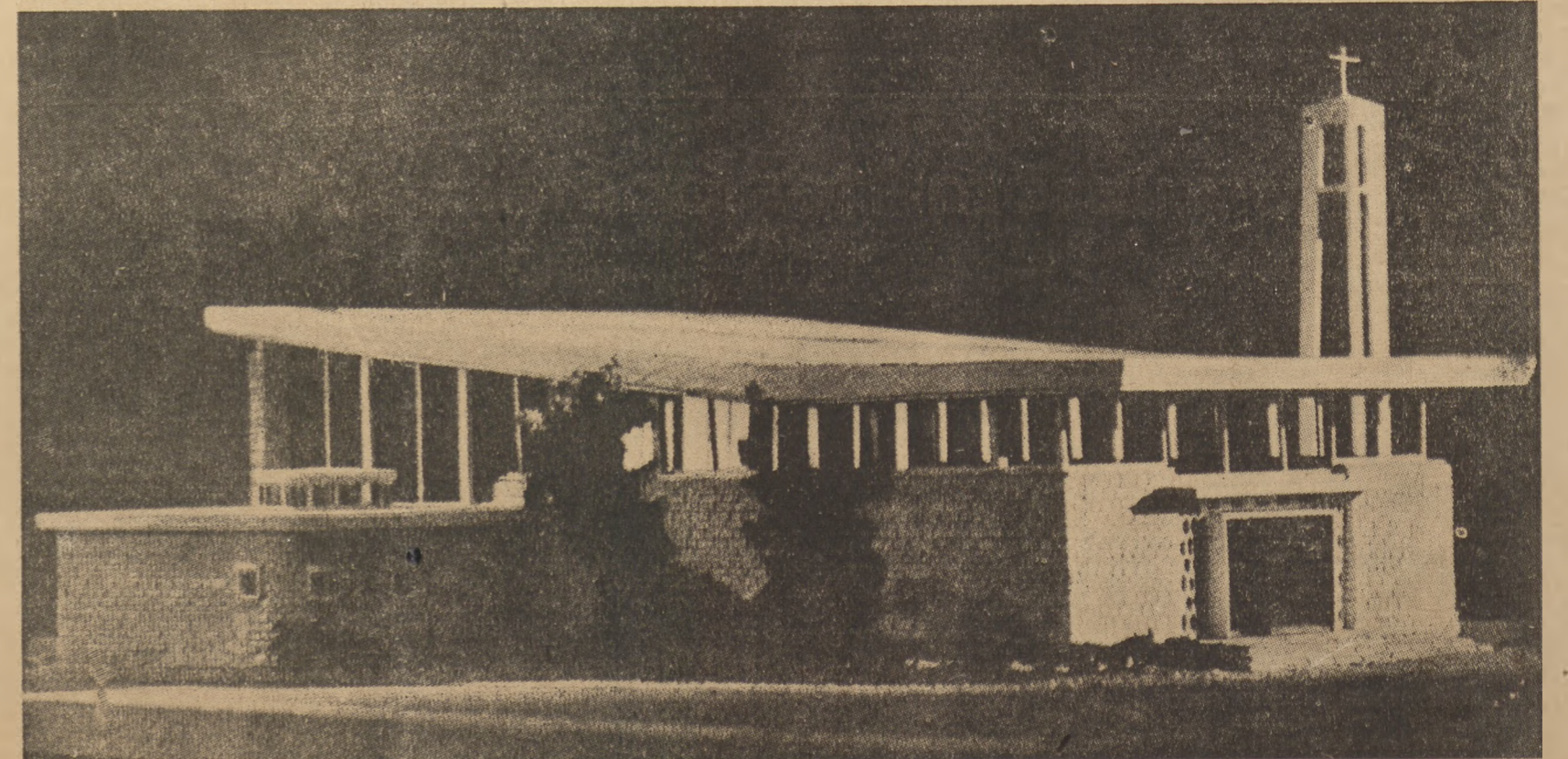
Liturgia często stara się podkreślić to przywrócone znaczenie Mszy św. Architektura stara się wyrazić je samą formą oraz licznymi akcentami dekoracyjnymi.

Umiar zachowany w wyglądzie zewnętrznym podkreśla prostotę i jedność założeń. Wstrzemięźliwość w urządzeniu wnętrza pozwoli uniknąć wszelkiego rozpraszenia wzroku i myśli. Już od wejścia ołtarz przyciąga uwagę — skasowanie kazałnic i ścian zamykających chór już w wiekach poprzednich zwrot ten przygotowało. Podkreśla to przede wszystkim usunięcie kolumn, na co pozwala nowoczesna konstrukcja.

Obrazki są widzialne ze wszystkich miejsc w kościele. Często spadzistość posadzki zapewnia pełnię widzialności, a że system ten przy-

miasta. Trzeba podkreślić, że w epoce uważanej za epokę wiary, to znaczy w czasach średniowiecza, kościół ujawniał pewną tajemniczość przyciągał równocześnie do siebie, co czyniło go bardziej dostępnym dla wszystkich. To zresztą właśnie czyni katedrę tak zawsze współczesną. Bez wątpienia są jeszcze ludzie, którzy wolą mroczny kościół, gdzie pająki świateł, długie nawy i głębokie sklepienia gubią się w nocy. Są jeszcze tacy, którzy wolą kryć się milczaco za kolumną, podczas gdy nabożeństwo odprawia się gdzieś daleko.

Z drugiej strony można znaleźć nowoczesne kościoły, tak zupełnie podporządkowane sprawowaniu kultu, że jeśli wierny wejdzie do takiego kościoła w dzień, będzie czuł się nieswojo, jakby odepnięty. Czy można więc powiedzieć, że kościoły te odpowiadają swym celom?



Kaplica Matki Boskiej Ubogich w Issy-les-Moulineaux wg projektu H. Duverdier i J. B. Lombard.

PO 1668 IV